

# Czarne oceany

Poniższy fragment nie znalazł się  
w ostatecznej wersji powieści.

## Rozdział trzynasty

### Od świtu do zmierzchu

Stracił z oczu Hacjendę, a wciąż moduł łączności pozostawał bezużyteczny. Co, u diabła – myślał Gedeon biegnąc ku odległej szosie – czyżby te oszalałe szarańcze przykryły cały kontynent? Niemożliwe; to nie jest kwestia prostego zagłuszenia, diagnosta melduje czyste pasmo.

Przynajmniej z pozostałymi funkcjami jego wszczepki nie było kłopotów. Drogę do najbliższej wypożyczalni samochodów wytyczyła mu automatycznie, rozwijając przez poziomicową mapę błękitną wstążkę optymalnej trasy. Ale po prawdzie nie było powodów, by przypuszczać, iż gdzie indziej auta działać będą lepiej niż w Hacjendzie. W istocie nie było przesłanek dla jakichkolwiek ogólnych przypuszczeń: gdy załamują się prawa fizyki i logiki, metoda wnioskowań indukcyjnych pierwsza ląduje na śmietniku.

Ile zatem godzin takiego maratonu go czeka? Słońce właśnie wschodziło, olbrzymi cień Gedeona skakał po wykrotach, wpęzał w piaszczyste jamy, nakrywał koślawe kaktusy. Ponad żółtą równiną migotały chmury drobin pryzmatycznych, teraz nagle lśniących w długich promieniach powracającej z wygnania gwiazdy: był to kurz, był to brudny pył pustynny, a jednak o tej porze migoczący kolorowo niczym diamentowy miał.

Gedeon biegł.

– Ratunku! Jezu Chryste, na pomoc, niech pan mi... Słyszysz mnie pan?!

Aplikacja bitewna odruchowo wskazała Frankowi źródło dźwięków. Mężczyzna wciąż krzyczał, mimo iż bez wątpienia słyszał zbliżające się kroki Gedeona. W końcu Frank ujrzał go: zapadniętego po pierś w cieniu za niewysokim pagórkiem. A zapadł się był najwyraźniej w ruchome piaski. Trwał teraz z rozłożonymi szeroko ramionami, oczyma wytrzeszczonymi w przerażeniu, zapiaszczoną twarzą. Był rzeźbiony w orlonosego aryjczyka i mieścił się w głównym przedziale wiekowej nieoznaczoności: dwadzieścia do sześćdziesięciu. Ujrzawszy Gedeona udał, że oddycha z ulgą. Uśmiechał się do niego na ślepo, pod słońce.

– No. Dzięki Bogu. Dzwon pan po pomoc.

– Niech się pan nie rusza.

– Przecież się nie ruszam.

– Jakoś pana wyciągnę.

– Dzwon pan po pomoc!

– Łączność siadła, nigdzie nie zadzwonię, niech pan nie wrzeszczy, spokojnie. W ogóle skąd się pan tu wziął?

– A co to ma za znaczenie, do cholery? Co to znaczy, że łączność siadła? Rzuć mi pan hol z samochodu.

– Nie mam samochodu.

– Jak to, nie ma pan samochodu? To skąd pan się wziął na tej Saharze?

– A pan? Może hol z pańskiego wozu rzucę?

– Słuchaj-no, sukinsynu...!

– Niech pan tak nie pracuje klatą, zapada się pan jeszcze głębiej.

Facet zacisnął zęby i powstrzymał się od dalszych okrzyków. Trwał wkopany w sypki piasek i zezował wściekle na Gedeona, niezdolny do odwrócenia się w jego stronę.

Frank wspiał się wyżej na pagórek i zadał sytuację programom percepcyjnym. Niewiele pomogły, poza wykreśleniem domyślnych poziomic dna piaskowego basenu.

Pobiegnę i przyślę tu kogoś ze sprzętem, pomyślał Gedeon. Ale zerknął na niebo i zaniechał planu: wkrótce słońce przesunie się i dosięgnie nieszczęśnika, udar gwarantowany. Poza tym miał niejakie wątpliwości co do aktualnej sprawności służb porządkowych i im pokrewnych; z tego, co zdążył obejrzyć na ledtapecie w biurowcu Hacjendy, układał mu się w głowie obraz jednej wielkiej klęski żywiołowej obejmującej już chyba cały glob.

Wyjął pióro. (Aniele, dopomóż mi.)

– Jak się pan nazywa? – rzucił w niejakim roztargnieniu.

– Worman, Argus Inc. – wycedził piaskowy topielec.

– Proszę się nie ruszać.

– Przecież się... Kurwa mać, co pan...

– Cicho.

Podszedłszy do krawędzi osypiska, Gedeon kucnął, wysunął w przód lewą rękę i paznokciami prawej rozdarł sobie żyły na nadgarstku. Czarna krew chlusnęła na piasek.

Worman patrzył na to z twarzą zamrożoną w maskę śmiertelnego zdumienia. Ciemna ciecz wsiąkała w grunt. Granica rozlewu była doskonale widoczna, czerń posuwała się po powierzchni ziemi półkolistą linią, im szerszą, tym wolniej, w końcu jednak sięgnęła piersi Wormanana i zamknęła się wokół niego. Frank zaś wciąż trzymał nad przemienionym w węgiel piaskiem wyprostowaną rękę, oleiste krople skapywały spod jego dłoni.

– Wykrwawi się pan – szepnął Worman.

Gedeon skrzywił się, uniósł ramię, potrząsnął; potem starł z nadgarstka posokę.

– Moment – mruknął i przysiadł na ziemi.

Już niemal całe osypisko, w którym tkwił Worman, pociemniało od Frankowego osocza. Fala zatrzymała się na linii słońca i cienia, w rzadką jasność poranka nie posuwając się już ani o milimetr.

– No – sapnął Gedeon – wyłaż pan.

– Co?

– Wyłaż pan. Zestaliłem to gówno. Wyłaż pan, bo i pana zamuruje.

Worman na próbę podparł się rękoma i spróbował podciągnąć. Zerknął podejrzliwie na Franka. Zaparł się łokciami i pochylił. Z wysiłku wyszczerzył zęby. Frank westchnął, podszedł doń, kucnął i złapał pod ramionami. Gdy szarpnął, Worman wrzasnął na cały głos. Grunt się poruszył, Gedeon zachwiał się; lecz za drugim szarpnięciem wyciągnął mężczyznę do końca. Jego marynarka wyglądała jeszcze jako tako, lecz spodnie, zwłaszcza dół nogawek, stanowiły po prostu dwa strzępy; po tabi nie pozostał najdrobniejszy ślad. Naskórek na łydkach fenofaryjczyka zdarty został miejscami do żywego mięsa.

Worman padł na czarny piasek i zakrzuszył się od krzyku. Odcharknąwszy, z pół minuty łapał oddech. Potem spojrział pod słońce na Gedeona.

– Kim pan jest, na miłość boską?

Frank schował pióro do kieszeni.

– Gedeon Frank. Niech pan się nie boi, mam to od czasu Cieni.

– Aach.

– Może mi pan wreszcie powie, jak w to wdepnął.

Worman usiadł. Podrapał się po plecach.

– Napiłbym się... ach. Niech to szlag. Nijak nie wdepnąłem. W ogóle nie pojmuję, co się stało.

Terrorysty chyba, bo nic innego nie przychodzi mi do głowy; ale na czyje zlecenie? Nie mamy żadnego dużego procesu na karku. Lecieliśmy na Hawaje. No zasnąłem w samolocie. I gdzie się budzę? Na jakiejś pieprzonej pustyni. Telefon zepsuty, ni żywej duszy; szczątków maszyny też nie widać. Ledwie zrobiłem parę kroków – i zacząłem się zapadać. Co by nie mówić, życie mi pan uratował. Bo to chyba nie jest najgęściej zaludniona okolica. W ogóle, gdzie ja jestem?

– Kalifornia. W tamtą stronę LA – Gedeon machnął ręką.

– No ładnie. Jak daleko?

– Do samej szosy kilkadziesiąt kilometrów.

– I pan tak na piechotę?

– Samochody nie działają.

– Też? Co, u licha, ktoś zdetonował w okolicy atomówkę?

– O ile wiem, jeszcze nie.

Worman spojrział na Franka.

– Co właściwie się dzieje?

– Cuda się dzieją, drogi panie – westchnął Gedeon. – Cuda.

Po czym zebrał pełną garścią piasek, wepchnął go sobie ust i zaczął jeść.

– Taak – mruknął Worman.

Wstał. Niepewnie podskoczył. Rozmasował energicznie uda i łydki.

Wyszedł z cienia rzucanego przez wzniesienie i zaklął wściekle. Pustynia zaczynała się już nagrzewać, a on był przecież bosy.

– No wspaniale. Idealnie – mamrotał. – W leń też se nie strzelę, bo nie mam z czego; powiesić się nie powieszę, drzewa ni liny w zasięgu wzroku; a już na pewno się nie utopię. Zdychać mi tu przyjdzie w męce. Już to widzę. Po dwóch latach znajdą szkielet. „Tu kończy się pech Johna Wormanana”. Język jak podeszwa. Mój Boże. Kilkadziesiąt kilometrów.

– Obwiń pan sobie stopy marynarką. Muszę iść.

– On musi iść! No tak, niech idzie.

Podczas gdy Worman kłął jeszcze pod nosem i przepowiadał sobie wszystkie możliwe nieszczęścia, Gedeon wstał, zszedł z pagórka, a zszedłszy – ruszył biegiem. Zaraz ucichł mu Worman za plecami, miast tego huczało w uszach powietrze, nakazał zatem filtrację dźwięków. Ale od tego znowuż poczuł się – w jakimś absurdalnym skojarzeniu – przerażająco samotny pod wielką kopułą jasnego nieba, i cofnął polecenie.

Po siedmiu kilometrach włączył się alarm antymamidłowy. Frank padł płasko na ziemię. Szarańcza! Gdzie? Uniósł nieco głowę, by dostarczyć wszczepce danych do analizy. Źródło emisji znajdowało się na południowym zachodzie i przesuwało ku północy. W zależności od mocy nadajnika i prędkości przemieszczania się, mógł być on oddalony o od dziesięciu do pięćdziesięciu kilometrów. Gedeon otworzył dodatkowe okno i powiększył mapę okolicy. Przetnie co najmniej trzy drogi stanowe. Przeczekać? Pójść lukiem? Ostatnie informacje o poczynaniach szarańczy raczej nie zachęcały do dobrowolnego wchodzenia jej pod laser.

Podniósł się i ruszył na południe równoległe do toru lotu amidłowego emitera. Ledwo dał kilkaset susów, aplikacja analizy wizualnej zakreśliła mu na horyzoncie błyskający stalowo punkt. *Zoom*: prawdopodobnie maska samochodu odbijająca promienie słoneczne.

Na wszelki wypadek wszedł w FINV. Obiegł obiekt po zacieśniającej się spirali. Był to wóz *highway* patrolu, zakopany lewymi kołami w bruzdzie w ziemi. Lewe drzwiczki miał uchylone, wystawały z nich nogi, najprawdopodobniej kobiece. Przy otwartym bagażniku stało dwóch mundurowych, jeden dłużył

sobie w oku, drugi pluł dookoła. Silnik samochodu został wyłączony przynajmniej półtorej godziny temu. Gedeon odruchowo przeczesał publiczne i policyjne częstotliwości, lecz tam był tylko biały szum.

Wciąż zacieśniał spiralę – teraz już maszerował ostrożnie, by nie podnosić piachu – gdy za przezroczystą szybą samochodu pokazała się okrągła buzia dziecka, rzeźbionego (jeśli był on w ogóle rzeźbiony, bo w tak młodym wieku trudno to poznać) w Mulata.

Frank podszedł powoli do wozu.

Policjant, który dłubał sobie w oku, miał bladą cerę, zielone włosy, krótko przystrzyżoną bródkę, też zieloną; w lewym uchu służbowy telefon, w prawym koleczyk jurdykatora związkowego. Jedną ręką odciągał sobie powiekę, małym palcem drugiej usiłował wydobyć spod niej ciało obce. Unosił przy tym głowę, czynił przedziwne miny, przestępował z nogi na nogę.

Ten, co pluł (a wszystko wskazywało na to, że był on poczęty na dziko: brzydka twarz, nieproporcjonalnie zbudowane ciało), zgrzytał głośno zębami i co kilka chwil kopał w oponę.

Gedeon zajrzał do wnętrza pojazdu. Kobieta leżąca na tylnych siedzeniach przyciskała sobie do czoła mocno już poczerwieniałą gazę. Owinięta była, niczym kąpielowym ręcznikiem, policyjnym kocem; pod nim najwyraźniej naga. Z pewnością całkowicie goły był cztero-pięcioletni chłopczyk myszkujący z przodu wozu. Kobieta, nawet się nie podnosząc i nie patrząc nań, mruczała co chwila: – Zostaw to, Hodi. – Hodi nie zwracał na nią uwagi. Wysuwając język szarpał za kierownicę, która zablokowała się do połowy schowana w desce. Kobieta z pewnością była rzeźbiona, i to już podług mody indywidualnego *designu*: gdy zmieniała rękę przytrzymującą gazę, Gedeon zobaczył jej twarz i momentalnie przypomniał sobie nastoletnią żonę-modelkę Gauguina.

Policjanci mamrotali do siebie ponuro.

- ...że dach urwie.
- Mogło zanieść diabli wiedzą gdzie.
- Jeśli gdzieś tutaj, mają nas pod satelitą.
- To po co to wyciągasz?
- Muszą posłać.
- Kto tam mieszkał?
- Na pewno nie byle szaraczki. Popatrz na nią.
- Cholera, prędzej wyrwiesz sobie gałkę oczną. Daj, ja spróbuję.
- No gdzie z tymi paluchami...?!

Gedeon odszedł na sto metrów i wyłączył FINV. Pierwszy spostrzegł go Brzydal. Kolnął zielonowłosego łokciem w bok (na co tamten bluzgnął ciężkimi przekleństwami) i zamachał do Franka energicznie.

Frank podszedł do nich, ostentacyjnie przyglądając się im i wozowi.

– Złapaliście gumę? – spytał.

– Nie bądź pan taki dowcipny – warknął Błady odstępując kilka kroków wstecz, by w spokoju przystąpić do ostatecznej batalii o oko, już niebezpiecznie zaczerwienione.

Gedeon sięgnął do kieszeni i zapiął na płatku lewego ucha klips z logo *Justice Inc.*

– O rany – westchnął Brzydal – nie trzeba od razu tak się unosić.

Splunął i wyciągnął do Gedeona dłoń. Frank uściśnął ją bez wahania.

– Czy ten wóz jest na chodzie? – spytał. – Muszę się dostać do Santa Barbara. Jakie są ostatnie wieści o tych tornadach?

Z samochodu wygramoliła się kobieta. Oparłszy się łokciem o dach, spoglądała na Gedeona zmrużonymi oczyma spod płytkiego cienia dłoni podtrzymującej gazę.

- Niech pan nam lepiej nie wspomina o tornadach – powiedziała. – Skąd pan przyszedł? Daleko to?
- Tu w okolicy niczego nie ma, *madam* – westchnął Brzydal i znowu splunął.

- No, nie trzeba znowu tak wierzyć mapom – rzekł Frank.
- Przecież przyszedł na piechotę – zachnęła się jednocześnie kobieta.
- Więc skąd pan właściwie idzie? – spytał Brzydał i tym razem nie charknął.
- Z domu wariatów. Na chodzie? – powtórzył klepiąc błotnik.
- Gdzie tam. Widać chyba.
- Łączność?
- Cisza.
- Pięć i pół kilometra stąd – Gedeon wskazał kierunek – został facet bez butów, ledwo kuleje, moglibyście się przejść po niego.

- O? – zainteresowała się kobieta i podeszła bliżej. – Jakies szczątki w okolicy?
- Samolotu? Nie; to dziwne, ale nic nie ma, nawet bruzdy.
- Dlaczego samolotu? – zainteresował się Brzydał.
- Gość nazywa się Worman i mówi, że zasnął w samolocie a obudził się tam na pustyni.
- Cudownie – sarknął Brzydał. – Jeszcze samolot.
- A nie widział pan sterowca? – dopytywała się rzeźbiona.
- Nie, proszę pani, nie widziałem sterowca. Skąd tu sterowiec?
- Te tornada – włączył się Blady. – Poszły na centrum. Zerwało kilka sterowców, chociaż to nano.

Zniosło je prosto na wschód. Jeden był ze *skyhousem* pod spodem. Dostaliśmy meldunek i zjechaaliśmy w te wertepy. Pani Jeaunoit wyskoczyła z synkiem w boi. Znaleźliśmy ich dzięki sygnałowi. A potem i nas dopadło jedno z tych pojebanych tornad. Widzi pan te wydmy? Mało nas nie zasypało. Od tej pory wóz już nie chce zapalić, radio też milczy. Pieprzeni rozbitkowie. Mówi pan, że ten Worman z samolotu? Pewnie też zahaczyli o trąbę. Chociaż kto lata tak nisko...?

- Wpadło panu coś do oka?
- Mnie wpadło coś do oka? A skądże przyszło to panu do głowy? Mnie, do oka?
- Pan pokaże tę chusteczkę.

Gedeon złapał Bladego za brodę, obrócił mu głowę, prawą ręką sięgnął ku podrażnionemu oku a z ukrytego pod chusteczką wskazującego palca wysunął mikromanipulator. Srebrna nić rozwinęła się spod paznokcia, zakolebała niepewnie nad powieką i zanurkowała w zażawioną szczelinę czerwieni. Gliniarz syknął i wyrwał się.

- Gotowe – powiedział Frank wyrzucając chusteczkę drugą ręką.
- Dzięki – mruknął Blady energicznie mrugając.

– Dobry Samarytaninie – zawołała Jeaunoit poprawiając na piersiach osuwający się koc – może zdradzisz nam jednak, skąd to wyruszyłeś w ten spacer przez pustynię?

– To nie ma znaczenia. I tak nie moglibyście się tam dostać; zresztą tu jest znacznie bezpieczniej, możecie mi wierzyć na słowo. Rozcięła pani sobie czoło?

- Pan jest lekarzem?
- Tak jakby.

Z kolei podszedł do niej. Oderwał gazę od skóry. Rozcięcie było długie, prawie poziome, głębokie do samej kości. Analizator olfaktomologiczny poinformował go o dryfujących w powietrzu utlenionych pochodnych środka przyspieszającego krzepnięcie – zapewne zaaplikowano jej standardową pourazówkę. Gedeon przeprogramował śliniawki; tymczasem udawał, że przygląda się ranie i zagadywał kobietę. Była niższa o głowę i bez przerwy zezowała wzwyż, na jego twarz i jego dłonie przy swoim czole. Wyglądała mu na siedemnaście-dziewiętnaście, co równie dobrze mogło oznaczać pięćdziesiąt: połączenie rzeźby genetycznej z nanoplastyką skóry pozbawiało obserwatora jakichkolwiek przesłanek dla wnioskowania o wieku. To już nie czasy skośnych oczu i półksiężycowych blizn.

- Więc była pani w *skyhouse'ie*, gdy uderzyło tornado?

– Aha.

– Pani, syn i kto jeszcze?

– Przynajmniej dwadzieścia osób. Apartamentów było szesnaście, ale część stała pusta, poza tym jak wyszedł ten Jałowiec, kilkoro od razu się wyniosło. Rok temu sterowiec obok dostał przeciwlotniczą, ktoś zginął. To dlatego tak potaniało.

– Pani się nie bała?

– W końcu to nie gangi nas załatwiły.

– Też prawda. Czemu nie wyskoczyliście w boi od razu, nad LA?

– Wyskoczyliśmy. Środek nocy; prosto z łóżka do boi. Ale wir niósł nas razem ze sterowcem. Urwało większość spadochronów, więc lądowanie było raczej twarde; stąd ta dziura we łbie. Co pan tam robi?

– Jeszcze moment. Wyskoczył ktoś oprócz was?

– Nie z nami. Nie widziałam. Pana telefon też nie działa?

– Już od jakiegoś czasu.

– Pan naprawdę tak na piechotę do Santa Barbara?

– Mam tam córkę. A to przecież w Santa Barbara wyroily się tornada. – Zastanawiał się, jak przeprowadzić cały manewr bez wzbudzania podejrzliwości Jeanoit i nic nie przychodziło mu do głowy.

– Proszę się teraz nie przestraszyć – powiedział więc w końcu. – Muszę użyć śliny. – Splunął sobie w dłoń i rozprowadził płwocinę po ranie. – Pięć minut góra – powiedział odstępując.

Jeanoit nie wiedziała jak zareagować. Już sięgała gazą do czoła, lecz powstrzymał ją ruchem głowy.

– Lepiej zostawić w spokoju. Zsyntetyzowałem analog laskóry. Zasklepi się.

Usłyszał za sobą kroki i rozpoznał oddech Brzydala.

– Kim pan jest? – spytał policjant.

– A jak pan myśli? – Odwrócił się powoli. Brzydal przypatrywał się mu z ciekawością. Po drugiej stronie samochodu Błady montował wydobyty z bagażnika połowy rzutnik holo.

– Myślę, że jest pan strażnikiem z jakiejś pobliskiej niezarejestrowanej, ukrytej pod powierzchnią posiadłości survivalistów, wysłanym dla sprawdzenia, co to właściwie spadło z nieba – odparł Brzydal. Nie było w wrogości w jego głosie i nie sięgał po broń. – Myślę, że jest pan nielekkko scyborgizowany, zapewne nielegalnie. Ma pan wszczepkę?

– Tak.

– Jaki zasięg?

– Full.

– Jest pan w kontakcie? Słyszają nas?

– Dobrze by było. Nikt nikogo nie słyszy. Będzie już parę godzin, jak jeno szum na wszystkich zakresach. Nie możecie tego sprawdzić, ale pracuję dla jurdykatora – tu wskazał koleczyk – i mam pozwolenie na wszystkie modyfikacje obronne. Gedeon Frank – rzekł i wyciągnął rękę, a Brzydal po raz drugi ją uściskał. Potem starł pył z mundurowej plakietki. Sierżant V. Minito.

– A to jest Herman Kluczynsky – wskazał Bładego.

– Miło mi. Jaki macie plan?

– A, o, taki – zawołał Kluczynsky i kopnął w pedał projektora.

Zadarli głowy. Na niebie rozkwitł czerwony krzyż, cokolwiek wyblakły z uwagi na jaskrawe światło słoneczne. Prosta prostopadła spuszczone z jego centrum bez trudu wskaże każdemu miejsce, skąd wzywano pomocy.

– Na ile starczy zasilanie?

– Cóż – Kluczynsky podrapał się w zieloną brodę – to jest model miejski. Sześć godzin.

– Lepiej to wyłącz i poczekaj do nocy. A wtedy włączaj na minutę co kwadrans.

– Straszny z pana pesymista, panie Frank – stwierdziła Jeanoit.

Kluczynsky jednak po chwili wahania wyłączył projektor.

– Teraz też będę włączał co kwadrans – oświadczył.

Gedeon wzruszył ramionami.

– Jak pan woli. Nie lepiej go zaprogramować?

– Się robi.

– Jechaliście z zachodu? – Frank zwrócił się z powrotem do Minito.

– Tak. Mniej więcej. Bo co?

– Nie, nic. Ja już będę musiał iść, ale wygląda, że wy utknęliście na dłużej. Przeszedłby się pan po tego Wormana, mhm?

Minito wzruszył ramionami.

– A dokładnie gdzie on leży?

– Daj pan mapę.

Zakreślił na niej położenie ruchomych piasków.

Jeanoit tymczasem przeglądała się w obiektywie jedynej ocalałej kamery wstecznej radiowożu.

Macala się po czole i marszczyła je na próbę. – Zostaw to, Hodi – rzuciła do dziecka przez ramię, chociaż chłopczyk najwyraźniej zasnął.

Zanim odbiegł, Gedeon zapytał o jeszcze jedno.

– Widzieliście szarańczę?

Gliniarze popatrzyli po sobie.

– Te koptery wojska? Nie.

Frank uniósł na pożegnanie dłoń. Odwrócił się i od razu runął w sprint.

Biegł na południe. Ech promieniowania mamidłowego już nie odbierał, ale to oznaczało jedynie tyle, że szarańcza wyłączyła emiterzy lub że nie dysponowała wyposażonymi w nie jednostkami – nie zaś, że nie ma tam żadnej szarańczy. Gedeon dobrze pamiętał z poligonów (oraz meksykańskich pobojowisk, z nich przede wszystkim), co potrafi nawet mały rój i nie zamierzał zbliżyć się choćby do pojedynczego zbuntowanego koptera.

Wszczepka pokazała na krokomierzu dalszych szesnaście kilometrów, gdy dojrzał na niebie parę krążących sępów. Włączył FINV. Skręcił, znowu zaczynając ostrożną spiralę.

W końcu okazała się ona całkowicie zbyteczną, bo obiektem zainteresowania ptaszysk była oczywiście padlina. Podszedł do zwłok. Mężczyzna leżał na wznak, prawie wgnieciony w twardą glebę pustyni. Był w jakimś szarym kombinezonie. Czaszkę miał rozłupaną i potrzaskane kości. Gedeon sprawdził temperaturę ciała. *Rigor mortis* niezbyt daleko posunięty. Pobrał próbki, kładąc je sobie ostrożnie na języku, i włączył „Podręcznego patologa”. Program orzekł jako sześćdziesięciodwuprocentową przyczynę śmierci krwotok wewnętrzny w wyniku upadku z dużej wysokości; pozostałe trzydzieści osiem procent szło w zawsze możliwe przyczyny zgonu uprzedniego: atak serca, krwawienie wewnątrzczaszkowe, szybko rozkładalne toksyny i temu podobne.

Wypadali po drodze pojedynczo, pomyślał Gedeon. Obejrzał się na wschód. Tam gdzieś powinien spoczywać rozbity sterowiec. Tylko że tornada rzadko chadzą tak prostymi ścieżkami. Spojrzał jeszcze raz na trupa. Przeszedł tędy huragan i zniszczył wszelkie ślady, z których wnioskować by można o kierunku upadku mężczyzny, nic więcej nie wywnioskując.

Ruszył dalej na południe i prawie od razu (ile to? – dwieście, trzysta kroków od zwłok?) dostał kulę w prawą skroń. Automatycznie wykonało się makro Gładiatora, przyciskając Franka płasko do ziemi. Gładiator, program zarządzający odruchami bitewnymi, został oczywiście wykasowany ze wszczepki Gedeona, gdy odchodził on z Cieni, jednak „A&S” *Justice Inc.* zaopatrywała swoich pracowników w dostępną na wolnym rynku cywilną podróbkę menadżera, po prawdzie niewiele się różniącą od wersji wojskowej.

Na tle wciśniętej w piach lewej dłoni Gedeona pojawił się trójwymiarowy model zdiagnozowanych uszkodzeń ciała. Czaszka wytrzymała, natomiast zerwało połowę twarzy, razem z uchem. Prawa gałka oczna ocalała, lecz oczodół zalewała szybko gęstniejąca krew i Frank tak czy owak był na wpół ślepy. Machnął ręką i projekcja zmasakrowanej głowy zniknęła. Analiza wsteczna, zarządził. Przewinął obraz okolicy tuż sprzed trafienia. Nic podejrzanego. W paśmie dźwiękowym też czysto: pocisk poddźwiękowy, broń z pełnym wytlumiaczem. Kto strzelał? Najprawdopodobniej maszyna: zignorowała FINV, strzeliła bez ostrzeżenia. Automat wartowniczy jakiejś posiadłości? Kto tak programuje automaty na własną zgubę, przecież to pewne procesy o morderstwo...

Zaczął się Gedeon odczołgiwać do tyłu. Minął zwłoki; odczołgiwał się dalej. Dopiero po prawie kilometrze odważył się podnieść. Nikt nie strzelał. Wijąc się tak niczym wąż miał Frank czas, by kilkakrotnie rozważyć całą sytuację i teraz skrzył prosto na zachód. Wystarczyło jednak kilka minut, by wszczepka ostrzegła go o odbieranych z południowego zachodu, zachodu i północnego zachodu echach promieniowania mamidłowego. Złośliwość losu, nic innego, zaklął w duchu Frank przystanąwszy na środku rozświetlonego pustkowia. Linia zaporowa szarańczy pomiędzy mną a miastem – jak inaczej to nazwać? No klątwa.

Żeby obejść ją łukiem, łuk ten musi być naprawdę szeroki. Słońce zdążyło się już wzbić sporo ponad horyzont. Jak tak dalej pójdzie, do zmierzchu nie dotrę do miasta.

Zawrócił na wschód. Uprzednio deptał cień, teraz włókł go za sobą.

Starł sobie z twarzy zakrzep krwi i resztki zniszczonej tkanki. Jej miejsce zajęła sztucznie odtworzona forma półorganiczna. Nano oczyściło również oko. Zapewne wciąż nie prezentował się najlepiej, ale przynajmniej nie wyglądał już na zombie.

Przeczuwał był, że w ten właśnie sposób dopełni się geometryczny schemat sytuacji i nie pomylił się: oto na horyzoncie, tuż pod słońcem, analizator wizualny dostrzegł i powiększył – ciemny zarys rozbitego sterowca. W bocznym oknie otworzył przefiltrowany i podrasowany obraz upadłego wieloryba przestrzeni. Biegając, Frank patrzył jak wyostrzają się detale katastrofy. Z odległości dwóch kilometrów zauważył przeciwny rytmowi wiatru ruch: ktoś przeżył.

Tym razem nie obiegał celu po spirali. Zwolniejszy, by tumanami wykopywanego pyłu dodatkowo nie utrudniać utrzymania FINV, zbliżał się do roztrzaskanego *skyhouse'u* pod uciekające znad wraku słońce; wszczepka, nieproszona, tonowała jaskrawość obrazu.

Nanoszkielet grubego wrzeciona, kryjącego w swym – odsłoniętym teraz – wnętrzu pęcherze obojętnych gazów, przetrwał upadek; w każdym razie przetrwała jego dolna część, stanowiąca nieelastyczny kręgosłup, do którego przyrosnięta była klatka sześciopiętrowego budynku. Wytrzymała również konstrukcja samego budynku, podobnie oparta na materiałach prawie-niezniszczalnych. Konstrukcja – ale nie sam budynek. Gedeon biegł wzdłuż rowu wrytego przez kapotujący *skyhouse* i mijał rozsiane wszędzie wokół szczątki wyposażenia podniebnych apartamentów: meble, wykładziny, naczynia, pogięte płachty zerwanych ledszyb, książki i ubrania, także jednego martwego kota i rozdarty na kilkanaście warkoczy zieleni nie mniej martwy bluszcz. Wysypisko kończyło się kilkanaście metrów przed granicą cienia ocalałej powłoki sterowca. Spoczywał on na boku, elipsoidalna czara srebrnego nanopłótna celowała w południowy horyzont. (Oto kolejny zwiędły kwiat staromodnego radioteleskopu, tak pustynia nasłuchuje szeptów z pustki powyżej). Wiatr lekko szarpał wieńczącymi go strzępami ultralekkiego materiału. Na matowym srebrze olbrzymie logo Phillipsa było wciąż doskonale widoczne.

Gedeon zszedł w jeszcze gęstszy cień głębokiego na dziesięć stóp rowu. Wielka krzywizna białego podbrzusza sterowca wyginała się ponad nim w górę i w prawo, w którą to stronę mierzył asymetryczny kielich. Jeszcze sto kroków i oto Frank dotykał pogruchotanej siatki asekuracyjnej najniższego piętra *skyhouse'u*. *Skyhouse* leżał na boku, nie całkiem poziomo (sterowiec był na to za szeroki), lecz pod kątem dwudziestu-trzydziestu stopni. Frank przeszedł w prawo i zajrzał w ciemną szczelinę między

stokiem kończącej się bruzdy a boczną ścianą budynku. Wysypało się tu to, co nie wysypało się się po drodze – na przykład półnagie zwłoki starca i wielki marmurowy stół o biało-czarnym blacie, grubym na dłoń. Błat zmiądzzył trupowi kręgosłup. Brzęczały tam stada wielkich much ścierwnic, tunelem chłodnej ciemności szedł ów pogłos niczym wibracja ogromnego wentylatora.

Gedeon wycofał się i wskoczył na balustradę trzeciego piętra. Wspiął się stąd na jego boczną – to znaczy górną – ścianę, po której mógł spacerować stąpając między wylupionymi oknami. Cień sterowca wciąż obejmował Franka, lecz tutaj był to już zaledwie pół-, ćwierćcień, musująca zawiesina rozslonecznionych drobin wdzierała się falami w dziedzinę nocy. Słyszał ponad sobą furkot strzępów monopowłoki. Wpierw zdały mu się te strzępy niewielkimi, ponieważ miały zaledwie po kilkanaście metrów. Teraz unosił głowę i widział na płaskim błękicie wielkie srebrne sztandary, co parę chwil podrywane sennym oddechem pustyni.

Ktoś wrzasnął ochryple pod nogami Gedeona. Frank przystanął i zajrzał przez wywichnięte drzwi balkonowe do wnętrza *skyhouse'owego* apartamentu.

Na przesuniętym na ścianę tapczanie leżał mężczyzna ze złamaną nogą. W stanie, w jakim się aktualnie znajdował – półnagi, ubrudzony własną krwią, ze zmierzwionymi włosami i twarzą wykrzywioną grymasem cierpienia – trudno było nawet stwierdzić, czy jest to rzeźbiony, czy dzikus. W każdym razie – fenoazjata; powyżej dwudziestki; z klasy co najmniej średniej (tatuaz jurydyczny na gardle: Pinkerton & Co.). Pokrzykiwał w przestrzeń, wałąc pięścią w sufit/ścianę i zagryzając wargi.

– Gdzie cię poniosło?! – wrzeszczał, po czym łapał kilkanaście długich oddechów.

Zanim pomyślał, Gedeon już wydał rozkaz swym gruczołom jadowym. Podświadomość go zdradzała. Nigdy nie dotrę do Santa Barbara, pomyślał; nie zobaczę nawet zwłok Myi.

Zeskoczył do apartamentu zdezaktywowawszy FINV.

– Ile jeszcze osób przeżyło? – spytał mężczyznę.

– Nareszcie – odetchnął ten, prawie nie zdziwiony. – Ależcie się guzdrali. Dajcie mi od razu jakieś znieczulenie i leśmy do szpitala. Cholera, pojęcia nie mam, za co ja płacę takie pieniądze, skoro przez pół dnia ignorujecie sygnał medkompa i nawet jak...

– Ile jeszcze osób przeżyło? – powtórzył Gedeon.

– Dobra, dobra. Ja, Monica, ci z dwójki, jakaś parka z rufówki, Baantul, ale Baantul kona, i dziecko tych z dołu. Jeśli ktoś jeszcze, to w każdym razie nie daje najmniejszego znaku życia. Monica mówi, że widziała parę trupów. Wycykamy tych matołów od sterowców do ostatniego centa. Hhhsssss! Daj mi pan coś wreszcie, bo zwariuję tu do reszty!

Gedeon otworzył usta, odsłonił dziąsła, wysunął kły, pochylił się i ugryzł mężczyznę w udo powyżej miejsca złamania. Facet wrzasnął jakby go obdzierali ze skóry. Z uwagi na trwałą przechyl, stoczyły się tu, razem z tapczanem, wszystkie przedmioty nie przymocowane na stałe do ścian i podłogi apartamentu – i fenoazjata porwał teraz za pierwsze, co nawinęło mu się pod rękę, a było to akurat szklane popiersie Juliusza Cezara (wykonane w skali jeden do trzech, podstawkę miało z ołowiu) i wałnął nim Franka w potylicę. Popiersie się rozbiło. Na to weszła do pokoju czarnowłosa rzeźbiona z butelką tequilli w ręce.

Gedeon wyprostował się i otarł usta wierzchem lewej dłoni. Obrócił się do kobiety i ukłonił lekko. Była w dzinsach, wysokich kowbojskich butach i siatkowym podkoszulku. Ciemny, kawowy pigment wybuchał między jej piersiami jasnym holotatuazem prawosławnego krzyża.

– Pani Monica, jak sądzę.

Kobieta stała i patrzyła.

– Ugryzł mnie! Ugryzł mnie! Ugryzł mnie! – miotał się po tapczanie fenoazjata.

– Ten trunek nie będzie mu potrzebny – Frank wskazał butelkę. – Dokonałem już miejscowego znieczulenia. Czy może mi pani powiedzieć, gdzie znajduje się reszta ocalałych?

Kobieta stała i patrzyła.

Fenoazjata wymacał na podłodze/ścianie metalową tacę i cisnął nią w Gedeona; ten uchylił się nie patrząc i złapał tacę, gdy go mijala koziółkując w powietrzu.

– Przepraszam bardzo – odezwała się wreszcie kobieta, cicho i nieśmiało – czy pan jest może wampirem?

– Widziałas jego zęby? Widziałas jego zęby? – podniecał się połamaniec.

Tego już Gedeonowi było za wiele. Osunął się wzdłuż ściany/podłogi i wybuchnął gorącym śmiechem, klepiąc się przy tym po udach, raz za razem łapiąc za głowę i brzuch, ocierając oczy z łez i kopiać piętami w boazerię.

– No bo wie pan – kontynuowała kobieta w coraz większym zmieszaniu – ten smok, to światło, więc czy pan jest wampirem, ja naprawdę...

– Oszalałaś? – zachnął się fenoazjata. – To jakiś porąbaniec z zespołu pierwszej pomocy.

– Jakiego zespołu pierwszej pomocy?

– Tego, co właśnie przyleciał.

– Kto przyleciał?

Spojrzeli na siebie, potem na Franka. Wciąż rechotał.

– I co, faktycznie znieczulił? – spytała rzeźbiona, nie ruszając się od drzwi, które po kolizyjnym spoziomizowaniu *skyhouse'u* sięgały jej do pasa.

– Ale co ty mi tu...

– Boli cię?

Fenoazjata skrzywił się.

– No jakby mniej – przyznał.

Postawiła krzesło i usiadła. Odkręciła korek, po czym z namaszczeniem pociągnęła długi łyk tequilli.

– Trzeba poczekać aż mu przejdzie.

– Już mi przeszło – odetchnął Gedeon, ale nie wstał.

– To dobrze. Pan nie jest wampirem?

– Nie, *madam*.

– Scyborgizowany.

– Właśnie.

– Nanobio.

– Między innymi.

– Z Cieni?

– Aha. Aktualnie „A&S” *Justice Incorporated*.

Pociągnęła drugi łyk.

– Byłam właśnie na zewnątrz i nie widziałam żadnych helikopterów ratowniczych. Raczej więc nie jest pan tu służbowo, panie...

– Gedeon Frank.

– Monica I.

– Jak?

– I. A ten tam dureń, który właśnie zabiera się za donicę – zostaw ją, jeszcze rękę sobie złamiesz na dodatek – to sławny i genialny Tsien Su. Przyjechał pan samochodem?

– Nie. Niestety. Też utknąłem na tej pustyni. Zasuвам na piechotę.

– Ma pan jeszcze jego krew na twarzy.

– A-a, nie. To moja. Tu w okolicy strzelają bez ostrzeżenia. Co to za smok?

– Smok?

– Mówiła pani...

– A! Smok! No tak. Widzieliśmy go. Kiedy ta wichura nas niosła. Okrążał nas w powietrzu.

– Bydlę było większe od całego sterowca – dodał Tsien. – Kilkadziesiąt ton. Nie miał prawa latać. Chociaż szklaneczkę, zanim sama wszystko wydoisz.

– Zatem lewitował – zbyła go Monica. – Niemniej po czymś takim wampir to małe piwo. Wie pan, że tu wszystkim nam szlag trafił telefony? Pan ma łączność? No tak, co by pan tu robił, gdyby mógł zadzwonić po transport... Skąd pan idzie?

– Z otchłani szaleństwa – westchnął Frank. – Gdzie reszta rozbitków?

– Bo co?

– Niecałe dwadzieścia kilometrów na północny zachód stąd utknęło swym wozem dwóch policjantów. Jest z nimi pani Jeaunoit z synkiem. Wskoczyli w boi. Ci gliniarze postawili na niebie holo ratunkowe. Powinno być widać nawet stąd, chociaż na razie jest ciut za jasno. Błyska co kwadrans. Jeśli ktoś przyleci, to właśnie tam.

– Więc? Mamy może pomaszerować do nich ze śpiewem na ustach? – parsknął Tsien. – Kto pan myślisz, że jesteś, Mojżesz? Ja mam złamaną nogę!

– Cóż, to prawda – przyznała Monica. – On ma złamaną nogę, *monsieur* Baantul jest nieprzytomny, jeszcze dwoje skrzyło kostki, poza tym mamy na głowie małe dziecko. Kto zresztą przejdzie dwadzieścia mil...

– Kilometrów.

– ...kilometrów przez pustynię.

– Chyba sam się wrócić i dam tamtym znać. Ale oni, jeśli nie uruchomią samochodu, też nie pójda na taki maraton.

– Rozbili się?

– Nie. Ale...

– Tak?

– Moment.

Gedeon zamilkł, bo dialog obudził w nim skojarzenie, którego nie chciał pochopnie zabić kolejnymi, nie powiązаныmi z nim słowy. Uniósł rękę, pochylił głowę. Monica i Tsien spoglądali nań, zaciekawieni.

On tymczasem tonął w zielonych odmętach domyślnej wizualizacji natychmiast uruchomionej przez wszczepkę rorschachówki. Program otoczył go gęstymi wirami seledynowej mgły, przyćmiewając obraz pomieszczenia, i tak pogrążonego w półmroku. W tej mgłę, w tych morskich toniach błyskały dookoła – tak szybko, że dostrzegalne jedynie podprogowo – trójwymiarowe kształty (twarze, kontury przedmiotów, symbole), tuziny ich, setki całe, z miejsca pokrywając niemal sto procent pola widzenia Gedeona. Błyskawicznie zastępowały je inne, mniej lub bardziej skorelowane z poprzednimi. Aplikacja rejestrowała poprzez wszczepkę reakcje mózgu Franka i w zależności od stopnia i zwrotu wyindukowanego wzrokowymi bodźcami pobudzenia pamięci, zawężała i uszczegóławiała wirtualne projekcje. W ten sposób w ciągu minuty od ramowego zestawu odnośników program doszedł do jednego, wielkiego holo: wyobrażonego wnętrza ciasnej kabiny kontrolki technicznej sterowca.

– Przepraszam państwa na moment. Muszę coś sprawdzić.

Wskoczył przez te same drzwi balkonowe w suficie/ścianie, którymi był tu wskoczył. Zgasił rorschachówkę i zażądał z podręcznego archiwum planów sterowca ze *skyhousem*. Wszczepka zawiesiła przed nim (nieco po lewej) sześcian delikatnego różu, w którym – niczym zatopiony w kryształ – obracał się według woli Franka konstrukt 3D, odzwierciedlający w dowolnej skali wewnętrzne organy wielorybów miejskiego nieba. Istniał bowiem pewien standard w zakresie ich budowy; choć poszczególni producenci dostarczali serie różniące się między sobą, różnice te leżały raczej w wykończeniowych detalach, luksusowych dodatkach, aniżeli w samym kształcie projektu. Pulpit dozoru technicznego powinien się mieścić na najwyższej kondygnacji, na dziobie. Zapewne będzie wciśnięty w jakąś niszę, w klitkę wielkości szafy – stanowi wymóg federalnych przepisów

bezpieczeństwa, lecz nie jest faktycznie wykorzystywany do przeprowadzania okresowych technicznych kontroli (błyskawicznie się upowszechniające, szyfrowane szumem łącza radiowe wyeliminowały konieczność manipulacji poprzez konkretne terminale).

Przeskakując ponad szerokimi dziurami w tej pochyłej podłodze/ścianie *skyhouse'u*, w minutę dotarł Gedeon pod samo grzebieniowate spojenie budynku z fullerenowym kręgosłupem sterowca. Zanim zanurzył się w ciemności okna narożnego pokoju, dostrzegł przed sobą, na osłonecznionej skarpie piachu spiętrzonego wysoko przed zarytym weń powietrznym Lewiatanem, sylwetki mężczyzny i kobiety. Stali zwrócenii twarzami na zachód, dłońmi osłaniali oczy. Nie wiedział, czy go spostrzegli; zresztą i tak nie zamierzał tu już więcej wchodzić w FINV.

Rychło by pobłądził w przeorientowanym wnętrzu *skyhouse'u*, gdyby nie bezbłędna nawigacja wszczepki. Jakkolwiek przedstawiał się ich stan faktyczny, aktualnie energia z żadnego źródła zasilania sterowca nie docierała do wnętrz apartamentów i panował tu mrok (im głębiej, tym większy). Gedeon rozszerzył maksymalnie źrenice; a gdy i to nie wystarczyło, zmienił spektrum podstawowe na podczerwień. Odruchowo zapalił też oczodolne latarenki, rzucające przed nim w tym zakresie delikatne światło. Gdyby ktoś teraz nań spojrział przez stosowne okulary, ujrzałby postać żywcem wyjętą z kiczowatych komiksów: indywidualium o szeroko rozwartych oczach, z których buchają białe snopy promieni śmierci.

Przecisnąwszy się przez prawie zabarykadowane zawaliskami domowych śmieci drzwi, dostał się Frank wreszcie do dziobowego holu wind. Tu – jeśli plany, którymi dysponował, dotyczyły także tego egzemplarza sterowca – umieszczono terminal bezpośredniej kontroli. Rzutował je na wnętrze: wskazały mu kwadrat pod jego stopami. Żadnych wypukłości, uchwytów. Na pewno był jakiś sposób mechanicznego otwarcia drzwi, przepisy tego wymagały. Obmacał je wzdłuż krawędzi. W końcu poddał się i przebił je w środku pięścią, po czym wyrwał razem z zawiasami.

Zsunął się do środka. Wnęka była „głęboka” na półtora metra. Usiadł po turecku na ścianie, twarzą do ledunku. Pod nim – to znaczy: po lewej – rysowała się kolejna kłapa, tym razem znacznie mniejsza. Nie był aż tak zdesperowany, żeby i w nią bić. Obok widniała szczelina odczytu staromodnych kart magnetycznych. Rzecz jasna, nie dysponował kartą ze stosownym kodem dostępu. Zerwał więc sobie paznokieć z kciuka, zaś z odkrytego gniazda wyszarpnął i rozwinął neurostrunę manipulacyjną. Nić wsunęła się w szczelinę. Gedeon odpalił aplikację zarządzającą, uruchomił opcję pełnej penetracji. Czuł, jak struna miota się tam między płytami elektroniki. Nawet nie uruchamiał wizualizacji analizy, niewiele by mu ona dała, nie bardzo się znał na tych sztuczkach. Odczekał, aż program zameldował wyczerpanie algorytmu, po czym polecił mu kontynuować procedurę podług jego najlepszego rozeznania.

Trwało to blisko kwadrans, w końcu jednak struna zdołała oszukać czytnik i ze ściany wychyliła się płaska klawiatura sensoryczna. Gedeon westchnął w duchu na ten widok: klawiatura była, oczywiście, postawiona na sztorc. Klepnął w START i zapalił się ledunek. Frank od razu wrócił do naturalnego spektrum światła widzialnego, zgasił też podczerwone płamy zaoczne.

POROZMAWIAJMY, wystukał. (Turingówka interfejsu zazwyczaj startowała w trybie audio, lecz to nie był terminal publiczny, a, jako przeznaczony zasadniczo do użytku w sytuacjach awaryjnych, defaultowane miał wersje najbardziej prymitywne).

– Dzień dobry – rzekł męskim głosem komputer.

Frank odetchnął z ulgą, że nie będzie musiał wyłamywać sobie łokci stukając w tę pionową klawiaturę.

– Jakie masz źródło zasilania? – spytał.

– Zintegrowany moduł akumulacyjny ORD.

– Pełna diagnostyka.

– Tak jest.

Trwało to siedem sekund.

– Gotowe. Wizualizować?

– Tak.

Na ścianie zaświecił się schemat sterowca ze *skyhousem*. Wszystko było na nim tak, jak w rzeczywistości: przechył, zmiażdżone ściany, sprasowany przód budynku, rozpruta powłoka sterowca, brak utraconych subbalonów gazów nośnych.

– Łączność? – spytał Gedeon.

– Awaria modułów nie poddająca się wewnętrznej diagnostyce.

Można i tak, pomyślał Frank.

– Integralność konstrukcji – rzucił.

– Zachowana – odparł komputer (turingówka w lot chwyciła wszelkie niedopowiedzenia i aluzje).

– Wytrzymałość.

– Jedynie estymowana.

– Podaj.

– Siedemdziesiąt cztery procent standardowej.

– Maksymalna obecna nośność.

– Nieznana.

– Sprawność układów subtrakcyjnych.

– Około trzynastu procent normy.

– Około?

– Dwa z trzech częściowo zmiażdżonych modułów nie poddają się pełnej wewnętrznej diagnostyce.

Podać krzywą rozkładu prawdopodobieństwa?

– Tak.

Typowy Gauss.

– Możliwe testy.

– Bierne przeprowadzone. Czy myśli pan o próbnym odciążeniu sterowca?

– Tak. Przeciwwskazania?

– Wiele. Zbyt duża ilość niewiadomych. Zasilanie substraktatorów z pewnością poniżej mocy nominalnej. Olbrzymia ilość nie poddających się samonaprawie uszkodzeń internalnych. Drastycznie przesunięty i niewyliczalny środek ciężkości. Asymetryczny rozkład ocalałych subbalonów. Zmiażdżone trzy główne turbiny. Brak bezpiecznego zakotwiczenia. Brak...

– Stop. Wystarczy. Możesz przywrócić wewnętrzne zasilanie?

– Tylko zdejmując moc z substraktatorów.

– Tu wszystko na ORD?

– Tak.

– Na ile starczy zachowana energia?

– Nie jestem w stanie przed aktywnymi testami określić aktualnej wydajności, ani szczelności.

– Zatem przygotuj się do próbnego zerowania ciężaru. Masz wejście radiowe?

– Jedynie impulsowe.

– O?

– Ograniczenie z uwagi na protokół antyterrorystyczny. Strefa Los Angeles. Zarządzenie rady miejskiej.

– No tak. Przyporządkuję kody. Klauzula wyłączności na najwyższym priorytecie. Podaj częstotliwość.

Ustalenie identyfikatora i kodów zajęło niecałą minutę. Potem Gedeon wyłączył terminal, wrócił do podcierwieni, wyszedł z wnęki i wy dostał się z wraku na światło porannego słońca. Wiatr się nieco

wzmógł i długie sztandary srebrnego monopłótna strzelały w górze nad nim, ostro i głośno. Obejrzał się na wschód, ale tych mężczyzn i kobiety już na skarpie nie było.

Wrócił do Tsiena i Moniki. Su najwyraźniej zdołał ją w międzyczasie przekonać o wyższości alkoholowej metody uśmierzania bólu, bo gdy Frank wskoczył do pogrążonego w miękkim cieniu salonu, zastał go podzemużającego na tym swoim tapczanie, z prawie pustą butelką tequilli w objęciach. Szybko się uwinął, to trzeba było mu przyznać. Monika natomiast klęczała obok na podłodze/ścianie i segregowała odzież, medykamenty i próżniowe pakiety żywności, zwalone na jeden wielki stos. Musiała wykonać kilka kursów – do kuchni, garderoby. Wybrane rzeczy pakowała do monomorficznego plecaka.

– Wybiera się pani gdzieś?

Wzruszyła ramionami.

– W końcu będziemy musieli się stąd ruszyć. Normalnie powinno się tu roić od glin, strażaków, agentów sieci – już w parę minut po naszym upadku. Tymczasem mijają godziny – i nic. Coś tu jest nie tak. Nie ma wyjścia, trzeba się ratować samemu.

– Więc jednak maraton przez pustynię?

Ponownie wzruszyła ramionami.

– Nie wiem.

– Może najpierw wypróbujemy wariant nieco mniej męczący.

Podniosła na niego wzrok. – Słucham.

– Chciałbym sprawdzić, czy nie dałoby się z powrotem podnieść sterowca.

– Żartuje pan.

– Trzeba wynieść stąd Tsiena i pozostałych. Gdzie oni właściwie są? Widziałem na zewnątrz mężczyznę i kobietę.

Wpatrywała się weń przez dłuższą chwilę: znieruchomiała wzrok, nieruchome dłonie, zapewne podobnie zatrzymane w biegu myśli.

– Dobrze – mruknęła wreszcie. – Tsienowi spodoba się monumentalizm pańskiego szaleństwa. Ale to pan go wyniesie, cybermocarzu.

– Ja, ja. A reszta?

– Poszukam ich. Gdzie zbiórka?

– Na dziobowej skarpie – odparł bez zastanowienia Gedeon.

Zabrało im to wszystko więcej, niż się spodziewał, bo prawie godzinę. Najpierw powynosił na tę skarpe oderwane od podłóg wielkie płyty wykładziny, by złożyć na nich zapasy wody i jedzenia zebrane uprzednio przez I. Obok ulokował chrapiącego Su. Słońce stało już wysoko. Z fragmentu potrzaskanej siatki asekuracyjnej wygiął półkolisty płot, następnie wbił go w piasek dookoła pstrokatej plamy syntetycznych dywanów, która stopniowo rozlała się na szczycie skarpy w koło o promieniu ponad trzech metrów. Wyszperanym z trudem w ciemnościach wraku chemicznym zszywaczem zesztukował kilkanaście zasłon i tym sposobem sklecony baldachim rozpiął na siatce. Do tej chwili Monika przyprowadziła tu już wszystkich ocalałych. Mężczyzna i kobieta, których widział wcześniej, okazali się rodzeństwem drugiego stopnia: Sorda Fo i Geoffrey Jansen. Druga para, Felmach Quinn i D. G. Boritskaya, była starym postmałżeństwem: oboje nierzeźbieni, oboje po całkowitym przemodelowaniu twarzy, oboje skręcili sobie nogi w kostkach. Opiekowali się dwuletnim brzdącem, jedynym ocalałym ze wszystkich lokatorów najniższej kondygnacji *skyhouse'u*. Nierzeźbiony Murzyn, *monsieur* Baantul (konsul jakiejś afrykańskiej dwuminutowej republiki) był wciąż nieprzytomny, i również jego Frank zmuszony był wynieść z rozbitego budynku. Próbował go potem zdiagnozować neurosondą, ale niewiele to dało: prócz niewątpliwego pęknięcia żeber i miednicy oraz drobnych wewnętrznych krwotoków, struna zasygnalizowała uszkodzenie kręgosłupa tudzież wstrząs mózgu, których to obrażeń głębiej nie potrafiła zdiagnozować. Gedeon nie był, wbrew pozorom, chodzącym

rogiem farmakologicznej obfitości i nie bardzo mógł w takiej sytuacji dyplomacie pomóc. Zsyntetyzował dlań inwazyjne trombocyty, palnął standardowe antybiotyki plus uśmierzacz – ale to było wszystko. Położył Baantula przy Su. Su na to się obudził i rozdarł, że jeszcze żyje, że sobie wyprasza, że nie chce, żeby go kładli obok nieboszczyków. Monika podała mu drugą butelkę. – Która wątroba? – spytał ją Frank. – Trzecia – odparła. – Jesteście na kontrakcie? – Nie takim, o jakim pan myśli.

Fo i Jansen, oboje wysocy, smukli fenoindianie, zajęli się (z pomocą wydrukowanego na jakimś *T-shircie* kalkulatora) dzieleniem na porcje zebranych zapasów, przy czym co chwila dochodziło między nimi do głośnych sporów o to, jak długo pożyje Baantul, ile jada małe dziecko, i tym podobnych. Zapytali nawet Franka, czy – jako nanocyborgizant – musi w ogóle jeść.

- Lubię – odparł im wówczas.
- To znaczy? – nacisnęła Fo.
- Coś jeść muszę – mruknął Gedeon – a wolałbym pomarańcze niż papier.
- Pan trawi celulozę?
- Na coście wtedy patrzyli?
- Kiedy?
- Staliście tu i patrzyli na zachód.
- A-a! Nie widział pan? Fatamorgana.
- Gdzie? – Frank obejrzał się.
- Nie teraz. Pojawia się. Co jakiś czas. Faluje tam, nad horyzontem, na zachodzie.
- Naprawdę – przytaknął Jansen.

Ponieważ po raz pierwszy w jego obecności zgodził się ze swą siostrą, Frank przyjął ich twierdzenia o pustynnej iluzji za prawdziwe.

- I co widać w tej fatamorganie? – dopytywał się dalej.
- Burzę z piorunami – rzekł Jansen.
- To nie jest burza – zaprzeczyła Fo (koniec krótkiej zgodności). – Kurtyna światła, powiedziałabym.

Chyba wszyscyśmy widzieli. Czerń u góry, ale nie chmury, czerń absolutna, i ognie na dole, i smugi jasności pomiędzy.

- To czarne się rusza – zauważył Jansen.
- Akurat! – zaperzyła się Fo. – To jedna wielka czarna dziura.
- Jakies szczegóły krajobrazu? Z jakiego dystansu mogło być to przeniesione?
- Też pustynia. Niezbyt daleko.

W tym punkcie również się zgodzili.

Kurwa mać, zaklął w myślach Gedeon. Więc tak to wygląda. Od miasta odgradza mnie cały rój, na tyle oszalały, że wali na ślepo w ziemię pod sobą. Na ile kilometrów rozciąga się ta kurtyna? Jak wysoko sięga? Jak duży musiałby być łuk obejścia? I na który kierunek się zdecydować? – północ? południe? Pieprzona szarańcza. (Zapomnij o Myi).

– Kiedy po raz pierwszy... – zaczął, ale przerwało mu zgodne westchnienie całej piątki, z jakim poderwali się na nogi i wypadli spod niskiego baldachimu.

Wielorybi jęk przetaczał się nad pustynią. Srebrny kaszalot o rozprutym grzbiecie wziął pierwszy od wielu godzin oddech. Jękwowi – rozpościerającemu się pod jasnym niebem niczym wielka, tłusta plama czarnego oleju – towarzyszyło wzbudzające dreszcze zwierzęcego przerażenia, ogłuszające trzeszczenie. Gedeon wysłał był komputerowi sterowca kod rozpoczęcia operacji już kwadrans temu, lecz dopiero teraz ujrzeli pierwsze efekty podjętej próby. Ocalałe subbalony pęczniały powoli wewnątrz czaszy – i tego nie widzieli – aż ich łączna siła nośna zwiększyła się na tyle, by poruszyć wielką masę całej konstrukcji, odrywając zległy na prawym boku wieloryb od piasku i przesuując go wolno po łagodnej paraboli ponad środek rowu, do pionu – i to widzieli wszyscy: piasek sypał się gęstymi strugami, lśniącej

półwrzeciono wznosiło się w bezchmurny błękit, na ich oczach potężniało i potężniało, ściekające zeń jezioro płytkiego cienia zmieniało kształt i przepływało ku północy. Wgłębiany w pustynię *skyhouse* orał wydmy, kontruchem dolnej części wahadła również zmierzając do wspólnego pionu, piasek osuwał się po stokach rowu tonami (bali się, że ich skarpa też ucierpi), a naprężana monotkanina strzelała raz za razem, aż Boritskaya zatkała sobie uszy. W miarę jak wewnętrzne subbalony pęczniały, ścięty nieco powyżej równika sterowiec odzyskiwał utracony kształt. Rana nie zagoi się do końca, monopowłoka nie zrośnie się sama – jednak komputer starał się jak mógł: alokował zdrowe balony, utwardzał wiotkie uprzednio przegrody, sączył z żył substraktacyjnych kleistą flegmę, która zalepiała co drobniejsze otwory. Sterowiec podnosił się przed nimi, otrząsał z brudu, prężył grzbiet. Wciąż potwornie trzeszczał. Ale oni patrzyli w cień, pod srebro, tam, gdzie *skyhouse* połykał kolejne hausty zimnej gleby, z winy nieelastycznego spojenia z wrzecionem prac ślepo ku geometrycznemu pionowi, a że jego osiągnięcie było dlań na razie niemożliwe, napierał jeno całą ścianą na zbocze bruzdy. To nieprzewidywane dobalastowanie sterowca mocno ich zaniepokoiło. O ile były jakieś szanse na wzniesienie rannego Lewiatana pomimo licznych jego ran, o tyle teraz stracili na to nadzieję – usłyszał Frank ich zgodny jęk i pomyślał: ludzie małego ducha. Bo sterowiec wciąż szedł do góry. Przejmujący jęk stopniowo cichł, coraz dłuższe też były przerwy w symfonii trzasków. Rozciągnięta do granic wytrzymałości monotkanina zyskała w porażającym zmrúzone oczy świetle słonecznym pozór lodowej gładkości, wilgotnej powierzchni wypolerowanej do pozbawionej tarcia tafli. Szła po szerokim łuku od lewej strony patrzących ku zenitowi i w końcu przesłoniła tarczę słońca. Przeszło przez konstrukcję krótkie drżenie; potem srebrne prosię zadygotało, zakolebało się na boki (mimowolnie dali krok wstecz, pod baldachim) – i podskoczyło wzwyż o dobre dziesięć metrów. Rozległ się hurgot spadającej hałdami ziemi, szum lejącego się szerokimi płachtami piachu. Na wysokości oczu rozbitkowie mieli teraz dno *skyhouse'u*, wcale znowu nie tak pogruchotane, jak się spodziewali: twarde nano budowlane prędeziej się rozprysnę niż odkształci – a dużo więcej trzeba, by się rozprysło. Piaskowa ulewa szybko się skończyła; sterowiec zamarł przekrzywiony lekko w lewo w stosunku do projektowanego pionu. Jego cień przykrył cień baldachimu: znaleźli się pod brzuchem potwora. Olbrzym zmartwychwstał.

– Noo – przeciągnął Quinn – a jednak.

– Twarda sztuka – przyznała Monica.

– Ale co dalej? – przeciągnęła się Fo. – Popatrzcie na dysze turbin. Miazga. Nigdzie go nie przesuniemy.

Turbiny manewrowe reklamowych sterowców nadmiejskich nie służyły do przesuwania ich po niebie metropolii (sterowce były wszak na stałe zakotwiczone), lecz do minimalizowania naprężeń ich monocum, a to poprzez kontrowanie szarpiających maszyną prądów powietrznych przeciwnie skierowanym ciągiem. Toteż najlepsze, czego mogliby się w tej sytuacji po nich spodziewać, to nadanie zeppelinowi (i utrzymywanie jej) stałej prędkości piechura, no, może rowerzysty – rzecz jasna, gdyby te turbiny były w pełni sprawne. Były w pełni niesprawne.

– Można tak, można owak – uśmiechnął się Quinn. – Gdybyśmy mieli wielbłądy, zaprzęglibyśmy je i pognali, żeby ciągnęły sterowiec nad pustynią.

Fo zachichotała.

– Tych wielbłądów musiałyby być z tyśiąc. A jakby powiał mocniej wiatr, wszystkie by elegancko zadyndały na swoich uprzężach. Sprzedaj to Tsienowi, na pewno narysuje w następnym filmie.

– Więc jaki ma pan plan, panie Frank? – zwrócił się do Gedeona Jansen, z powrotem siadając na stosie wykładzin.

– Zaraz-zaraz, kto go właściwie wybrał dyktatorem? – zirytowała się Fo.

Równocześnie jednak Gedeon odpowiedział Geoffreyowi:

– Jak widać, substraktatory dysponują pewnym zapasem mocy. Zastosujemy napęd odrzutowy:

kontrolowane upusty gazów.

– Czy ja dobrze rozumiem...? – zachłysnęła się Fo. – Ten srebrny cielec będzie tak frunął nad pustynią, popierdując sobie radośnie to z lewej, to z prawej?

– Mniej więcej – przyznał Frank.

– A jak znowu runie? – rzuciła Boritskaya.

– To nie z wysoka. Pobiegnę do gliniarzy. Państwo tymczasem załadujecie się z powrotem. Przesunę go i posadzę na styk tu obok. Im więcej balastu wyrzucicie, tym lepiej.

– Na łasce i niełasce – mruknęła Fo.

– Ktoś jeszcze ma tu wszczepkę? – warknął Gedeon. – To niech się przyzna.

– Dobrze, że nie jesteśmy pod *Neti* – westchnął Quinn. – Niech pan lepiej już przesuwa.

Frank wyszedł spod baldachimu i spod cienia sterowca, kierując się na północ. Przystanął i wysłał przez wszczepkę serię krótkich binarnych kodów. Chciał się przekonać, na ile precyzyjne może być podobne manewrowanie, poczekał więc jeszcze kilka minut. Samych rozklejonych przez komputer sterowca otworów w jego i subbalonów powłokach oczywiście nie dostrzegł, bo wszystkie znajdowały się na drugim boku wieloryba: potwór sunął prosto na Gedeona. Frank analizował jednak uzyskane przyspieszenie, podatność na ataki wiatru, estymowaną bezwładność. Cofnął się jeszcze kilkadziesiąt jardów. Sterowiec powoli, dostojnie podążał za nim, przyływ cienia gonił jego stopy.

Tym razem Gedeon dostrzegł (choć nie bez pewnych problemów) kilkanaście szczelin rozwierających się w jasnej gładzi monopowłoki. Wizualizowany w półprzezroczystej nakładce wektor prędkości sterowca zaczął się kurczyć. Frank ocenił, że widział już wystarczająco dużo, odwrócił się i ruszył biegiem ku wskazywanemu przez wszczepkę punktowi na horyzoncie. Gdy kilka minut temu przypomniała mu ona o porze aktywacji sygnałowego hologramu, zerknął na północny nieboskłon i dojrzał tam błąd krzyż: więc jednak policjanci nie uruchomili swego wozu.

Faktycznie – wciąż tkwił on w takiej samej pozycji. Reszta prezentowała się wszakże nieco zaskakująco: Minito spał, rozciągnięty jaki długi w cieniu pojazdu, Jeaunoit opalała się na rozłożonym na pochyłym dachu radiowozu kocu, jej synek zaś demolował na miarę swych skromnych możliwości nie aktywny aktualnie projektor. Kluczynsky'ego nigdzie nie było widać.

Gedeona widok ten całkowicie rozbroił. Ktoś tu zwariował – pomyślał w połowie drogi do historycznego śmiechu – ale nie oni, bo oni właśnie zachowują się do bólu normalnie, i nie ja, bo mnie przecież monitoruje wszczepka – kto zatem? Miał bowiem w świeżej pamięci destylowany obłęd nocy horrorów w Hacjendzie Czterech Suchych Źródeł i nie potrafił do końca wytłumić wewnętrznego dygotu.

– Gdzie Kluczynsky? – spytał.

Jeaunoit uniosła głowę.

– A, to pan. Kluczynsky? Kluczynsky poszedł po tego...

– Wormana.

– Wormana.

– Kiedy?

– Bo ja wiem? Chwilę temu. A co się stało?

– Znalazłem wasz sterowiec.

– O? – Jeaunoit uniosła się na łokciach; osłoniła dłonią oczy i spojrzała na Franka z uwagą. – Gdzie?

– Udało się go podnieść. Podlecimy tutaj i zabierzecie się. Sierzancie! Sierzancie!

Minito uniósł lewą powiekę. – Dzień dobry.

– Oby. Niech pan zdemontuje tę maszynę, zanim mały złamie trójnóg.

– Mamy transport – poinformowała go z góry Jeaunoit. – Pan... ojej, nie pamiętam.

– Frank.

– Pan Frank...

– Słyszałem, słyszałem – mruknął Minito wstając.

– Próbowaliście ruszyć wóz?

– Zdechł na dobre.

– No nic. Nie wiem, jak szybko się tu zjawimy, ale lepiej by było nie marnować więcej czasu – może pobiegłby pan pomóc Kluczynsky'emu, sierżancie?

– Pobiegł? – zachnął się Minito.

– Poszedł. Widzieliście na zachodzie jakieś fatamorgany?

Zrobili tylko zdziwione miny.

Frank machnął ręką i ruszył w powrotny sprint.

Jeszcze trochę a wydepczę tu ścieżkę, sarknął w duchu, sadząc wielkimi susami przez suchą równinę. Jedynym urozmaiceniem krajobrazu były mijane za każdym razem kaktusy: krąg tuzina cherlawych roślin, bardziej brązowych niż zielonych.

Komputer idealnie wyzerował nośność sterowca i zawiesił podłogę parteru *skyhouse'u* pół metra ponad powierzchnią gruntu. W momencie powrotu Gedeona rozbitkowie kończyli właśnie wciągać do środka Baantula. Okazało się, że wciągali zwłoki: konsul zmarł chwilę temu. Przy okazji wyszła na jaw spora niewygodna związana z takim zaimprovizowanym środkiem transportu – mianowicie wszystkie drzwi i okna najniższej kondygnacji zapchane były ziemią i piaskiem, a na poziom wyżej nie prowadziły żadne zewnętrzne schody. Najgłośniejsz narzekał Tsien Su, którego zmuszeni byli wciągać na linach skręconych z materiału odzyskanego ze zdemontowanego baldachimu.

Gedeon posłał komputerowi serię instrukcji. Zanim szczeliny odrzutowe na dobre się otworzyły i Lewiatan zaczął się podnosić, Frank wskoczył na siatkę asekuracyjną, zagiętymi w szpony palcami wczepił się przy krawędzi w jej oka, zaparł nogami – i jął wyginać materiał. Siatka już od uderzenia w ziemię i długiego potem wleczenia *skyhouse'u* po pustyni przybrała kształt, którego nie powstydziliby się u swego arcydzieła mistrz abstracyjnego modelunku; teraz Gedeon darł ją dalej. Nie była ona wykonana z identycznego typu nano, co sama konstrukcja podwieszona pod sterowiec budynku, miała służyć za elastyczny kojec dla nieostrożnych mieszkańców – rozpościerała się na ponad dziesięć metrów od ścian, na brzegach zawijała się do środka czterometrowym fałdem – toteż starania Franka nie były z góry skazane na niepowodzenie. A jednak, mimo wszelkich sztucznych wzmocnień jego organizmu, walka się przedłużała. Wybrał ten fragment siatki, który i tak został obustronnie rozpruty i długim jęzorem wywinęty wzwyż. Usiłował Gedeon odgiąć go jeszcze bardziej, tworząc rampę prowadzącą prawie do samej galerii drugiego piętra (rampa schodząca w dół od poziomu parteru już istniała: wielki płat w kształcie rombu, przez jakiś czas wlekący się po ziemi za *skyhousem*, póki sterowiec nie podniósł się wyżej).

Monica i Fo obserwowały poczynania Gedeona oparte o ocalały fragment balustrady.

– Herkules – prychnęła Fo.

– Żyły mu popękają.

– On nie ma żył.

– A co?

– Hydraulikę odżywczych substytutów.

– Zejdz... tu... któ... ra... to... jej... po... ka... że... hy... dra... u... – sapał Gedeon.

– Obiecanki-cacanki! – zaśmiały się.

Z zapiaszczonego korytarza wykulał na balkon Quinn.

– Dokąd my właściwie lecimy? – spytał.

– Po gliniarzy i Jeaunoit – odparła I.

– A potem?

– No do LA. A gdzie?

Siatka osiągnęła ostatecznie pożądany kształt i wyczerpany Frank stoczył się po niej aż do samej fałdy brzegowej; tu rozciągnął się na wznak. Gapiąc się w niebo, głęboko oddychał: podrażniony słowami Fo nie chciał korzystać ze sztucznego odżywiania komórkowego. Niech króluje zwierzę.

– Nie możemy lecieć bezpośrednio na zachód – rzekł po dłuższej chwili. – Wpadlibyśmy pod ogień zaporowy szarańczy.

– Tak naprawdę potrzebny jest nam jedynie jakiś sprawny środek łączności – oświadczył stary Felmach.

– Ale nic nie działa – przypomniała Fo.

– Działa, działa, lecz są trudności z uzyskaniem odpowiedzi z drugiej strony – uściślił Gedeon. – Wejścia satelitarne musiały się zakłajstrować a sieć lokalna paść do ostatniego przekaźnika.

– Wojna elektroniczna? – zasugerowała Monica.

– Na to wygląda.

– Było coś w TV. Atak na rynki azjatyckie. Jakies krachy. Hongkongska chyba właśnie nas obwinia.

– Więc kabel – nie ustępował Quinn.

– Gdzie tu znajdziesz jakiś kabel...! – popukała się w czoło Fo.

– Odrobinę szacunku, prosiłbym – uniósł się naturalista. – Może i nie jesteśmy pod *Neti*, jednak nie łączą nas na tyle bliskie stosunki, by mogła pani sobie pozwalać...

Gedeon już nie słuchał. Obrócił się na brzuch. Widział teraz – wydawało się, że odległą o nie więcej niż wyciągnięcie ręki – powierzchnię pustyni, otuloną w jednolity cień sterowca, przemykającą pod nim tak szybko, że gdyby nie wszczepka, uległby złudzeniu i uwierzył samemu wzrokowi, który przekonywał, że w rzeczywistości jest to szaro-żółte morze, że te płaskie wydmy to pozbawione piany fale na nim, że ten wiatr to bryza, która je mierzwi. Kątem oka sprawdził prędkość: przekroczyła trzydzieści mil na godzinę i nadal rosła.

Kabel. Kabel, kabel, kabel. Że też wcześniej nie pomyślał! Przecież wszyscy klienci „*Assurance & Safety*” *Justice Incorporated* o statusie powyżej złotego mają standardowo zakładane bezpośrednie łącza światłowodowe z okręgową centralą. Otworzył okno 2D, w nim mapę okolicy; przeskalował ją i obrócił. Czterdzieści siedem kilometrów na północ, północny-zachód. Godzina przy takich osiągnięciach „Pierdzącego”.

Gedeon wstał, wszedł po rampie i splunął na podłogę.

– Chrzczę cię! Odtąd zwać się będziesz „Pierdzący”!

– Szampana! – krzyknęła Sorda Fo.

– Gdzieś tu pewnie jest butelka czy dwie... – wydeła policzek Monica. Mrugnęła do Gedeona i zniknęła w ciemnym wnętrzu *skyhouse'u*.

– Przydałyby się latarki – zauważył Quinn, odprowadzając ją długim spojrzeniem.

– Szabrowniczka – mruknęła jednocześnie Fo.

– Poświeci sobie krzyżem – odparł Felmachowi Frank przeskakując na balkon obok niego.

– Światło jej wiary poprowadzi ją prosto...

– ...do barku – dokończył deklamację Gedeon.

– Amen.

Lecieli już na wysokości siedmiu-ośmiu metrów. Mignęły pod dnem *skyhouse'u* dobrze Frankowi znane kaktusy. Niedługo powinno się zacząć hamowanie; na tak długim dystansie będzie ono polegać po prostu na zamknięciu otworów wyrzutowych, opór powietrza zrobi resztę. Zobaczymy, jak komputer sobie poradzi. Z precyzją tego typu obliczeń zawsze było kiepsko: mały wiaterek, nierówność gruntu wymagająca korekcyjnego dopału... Nieliniowe równania – w ich przypadku prawie zawsze wszystko diabli biorą.

Wróciła Monica – razem z Boritskayą i dwiema butelkami kalifornijskiego czerwonego.

- Jedyne, które ocalały. Szampan albo rozbity, albo zakopany piętro niżej.
- A kieliszki?
- Pani Boritskaya ma kubki.
- Co my właściwie świętujemy? – dopytywała się Boritskaya rozdając plastikowe kubeczki. W istocie posiadała cały ich pakiet, tubę dwudziestu sztuk w oryginalnym nylonowym opakowaniu.
- Cudowne ocalenie – podsunęła Fo.
- Zstąpienie anioła w osobie pana Franka.
- „Pierdzącego”.
- Jakiego znowu pierdzącego? – zdziwiła się Boritskaya. – Kto pierdzi?
- Myślałem, że znajdzie pani kolejną tequillę.
- Nie było więcej.
- Do dna!
- Mhm. Na słońcu leżało?
- Gdzie szanowny braciszek?
- Śpi.
- Co?
- Śpi. Położył się i zasnął.
- Puszczę to w Sieć. „Pustynna odyseja”. „Wędrowny *skyhouse*”.
- „W szponach tornada”.
- Otworzy pani drugą, z łaski swojej.
- Pan Frank otwiera, ma paluszki jak imadło.
- Do usług, *madam*, do usług.
- Na pana Franka się marnuje, jemu nigdy w głowie nie zaszumi.
- Na kogo się marnuje, na tego się marnuje. Nie chodzi przecież o to, żeby zwałać się pod stół.
- A o co?
- Żeby pić.
- Jakaś nowa filozofia.
- Bo urznąć, to ja się mogę w parę minut nie mocząc nawet warg.
- Więc jednak zaszumi!
- Samej ci szumi.
- Drogie panie...!
- Pan spojrz, panie Frank – czy to aby nie oni?
- Aha. Zwalniamy.
- A gdzie ci gliniarze?

Bo obok krzywo zaparkowanego radiowozu stała jedynie pani Jeaunoit zawinięta w koc; Kluczynsky'ego i Minito nie było w zasięgu wzroku. Po chwili zobaczyli małego Hodiego, który wdrapał się na maskę samochodu, by stamtąd lepiej widzieć nadciągający niczym groźna chmura sterowiec. „Pierdzący” bowiem, zwalniając i zwalniając, posuwał się teraz z prędkością energicznego piechura. Nie wyglądało jednak, by zdążył się na dobre zatrzymać, zanim minie policyjne auto.

Gedeon zszedł na sam dół siatkowej rampy (lekko ugięła się pod nim) i stąd zeskoczył: skoczył do tyłu, lecz ustawiony twarzą do kierunku lotu. Wysokość nie wynosiła już nawet dwóch metrów. Podtruchtał do Jeaunoit.

– Gdzie Minito?

Patrzyła ponad jego ramieniem na przesuwający mu się za plecami srebrny masyw sterowca (majestat powolności, on także potrafi przykuć oko).

– Poszedł pomóc Kluczynsky'emu. Więc jednak... Kim są ci na balkonie?

– Pozostali ocaleni. Nie zna pani własnych sąsiadów?

– Nie, nie bardzo. Będziemy czekać na gliniarzy?

– No nie; chyba sam pobiegnę im pomóc.

Rzuciła mu roztargnione spojrzenie.

– I co, pan również wsiąknie? Może tam za horyzontem czai się smok i pożera wszystkich zabłąkanych wędrowców?

– Też go pani widziała?

– Co?

– Smoka.

Zaśmiała się. – Przecież mówię, że za horyzontem!

– Nie, nie; tego, który leciał w tornadzie razem ze sterowcem.

– Co...?

Machnął ręką i pobiegł po Wormana.

Mniej więcej w połowie drogi do ruchomych piasków natknął na coś, czego z pewnością tu nie było, gdy o świcie biegł w przeciwną stronę. O rozmiarach jego zdumienia świadczyło, iż – mimo zachowania czystej, ciągłej pamięci naturalnej – przewinął Frank w powiększonym oknie *live-replay* tamtej chwili. Dobrze pamiętał: nie było tutaj żadnego szkieletu. A już na pewno – owej gigantycznej katedry wapiennych łuków, krzywych żeber bezimiennej bestii, wznoszących się w jasny błękit na dziesiątki metrów, póki nie tracił ich tam z oczu w wielkiej jasności, na co znowu musiał uruchamiać wspomaganie wzroku; a wtedy analizator wizji opisywał mu wysokie krzywe gęstymi alfanumerykami i przeprowadzał instynktowne komparatystyki z podręczną bazą danych – stegozaurus? brontozaurus? Nawet jak na nie, nazbyt to wielkie. Gedeon przeszedł przez środek klatki piersiowej szkieletu (domyślny kręgosłup potwora spoczywał metry pod powierzchnią gruntu, na dodatek wszystko wskazywało na to, że pustynia więzi go tam w swym twardym uścisku od setek lat), Gedeon stąpał ponad nim, zadzierał głowę, architektura żółtych kości przytłaczała – połknięty, połknięty! – spacerował przez wyszlifowane ostrym piaskiem na lśniący marmur resztki truchła nieprawdopodobnej kreatury – i bez konieczności uruchamiania roschachówki tonął beznadziejnie w ciemno zamulonych odmętach przypadkowych skojarzeń.

...Smok?

Pobiegł dalej. Zmusił się, by się nie oglądać za siebie.

Wormana i policjantów znalazł dopiero przy samym piaskowym zapadlisku, nie dalej niż dwieście metrów od szczęśliwego dla fenoaryjczyka pagórka; szli, ale co to był za marsz, mój Boże, nie dotarliby do samochodu i za tydzień.

– Coś mu się stało w nogi – poinformował Gedeona sierżant Minito.

– Ach, mój wybawiciel...! – zawołał Worman i zaraz syknął z bólu.

Policjanci wzięli go między siebie, objął ich za szyje, prawie go nieśli – a jednak zagryzał wargi z bólu ilekroć jego grubo obwiązane brudnym materiałem stopy dotknęły ziemi.

– Dobrze, już dobrze – mruknął Gedeon. – Zostawcie go.

Wziął Wormana na ręce. Siedemdziesiąt cztery kilogramy, poinformowała wszczepka. Zabłokował ramiona.

– Wygodnie? – spytał.

– Od dzieciństwa nikt mnie tak nie nosił – rzekł Worman, z wysiłkiem symulując śmiech. Ułożył się na rękach Franka niczym w kolebce, lewe ramię zarzucił mu za kark.

Kluczynski i Minito obserwowali to z nic nie wyrażającymi minami.

– Przybył Superman – mruknął Kluczynski; ale to było wszystko.

Przez jakiś czas szli w milczeniu. Gedeon spróbował przejść w trucht, lecz policjanci – obaj spoceni,

ubrudzeni, ponurzy – zgromili go zgodnie tak morderczymi spojrzeniami, że z powrotem zwolnił.

Kiedy mijali gigantyczny szkielet, Frank zwrócił się do Kluczynsky'ego:

- Widział pan to poprzednio?
- Trudno nie dostrzec – odparł policjant.
- Podróbka – orzekł Worman.
- Się komuś chciało.

Potem zobaczyli wymierzoną prosto w słońce białą pięść sterowca.

- A jednak – pokręcił głową Kluczynsky.
- Pieprzony Phillips – skomentował Minito.

A przecież i on się uśmiechał.

Ponieważ „Pierdzący” czekał już tylko na nich, Gedeon posłał komputerowi maszyny polecenie startu, gdy dzieliło ich od niej jeszcze ponad kilometr. Teren był równinny, wręcz płaski, i sterowiec przyspieszał nie podnosząc się wyżej. Sunął im naprzeciw. Policjanci z marszu wskoczyli na siatkową rampę. Przejęli od Franka cokolwiek już obolałego Worman; Frank wskoczył ostatni.

Przeniósł później Worman do salonu na piętrze. Przez szerokie okna wpadało doń aż za wiele światła. Nie ocalały tu żadne meble, położył więc rannego na podłodze. Następnie, przykłęknąwszy, odwinął z jego stóp strzępy marynarki, by przekonać się, o jakie właściwie rany tu chodzi. Monica spoglądała mu nad głową i teraz zakrztusiła się winem, plując Gedeonowi we włosy.

- Tak... coś... czułem – sapnął Worman, podnosząc się na łokciach.

Nie miał stóp. Miał kopyta.

- Ileś pan za to dał? – spytała I.
- Zamknij się – warknął Gedeon.

Odsunęła się i zamilkła.

Worman jednak zaczął się jej tłumaczyć:

– Jeszcze godzinę temu... jeszcze półtora... Ja nie wiem, jak to się stało. Pan widział. Pan sam przecież widział. To niemożliwe. To się w głowie nie mieści.

Tymczasem do środka weszli Jansen, Fo i policjanci. Worman uśmiechnął się do nich krzywo. Znowu padły złe pytania i znowu Worman wyjaśniał nieporozumienie (na ile cokolwiek mógł wyjaśnić). Wszedł Quinn. Monica w milczeniu częstowała policjantów winem.

Gedeon delikatnie obmacywał pęciny mężczyzny. Przejście anatomiczne człowieka w konia (a może w kozła, barana, byka...?) było płynne; jeżeli oczekiwał jakiejś linii granicznej na skórze czy kościach, to w każdym razie jej nie znalazł. Kopyta były ciężkie, szerokie, z charakterystycznym wcięciem w tył i w przód. Ciało tuż powyżej – ciepłe, gorące.

Obejrzał kopyto dokładniej i wykluczył pochodzenie od nieparzystokopytnych: wyraźne dwie silne racice powstałe z palca trzeciego i czwartego, reszta w atrofii. Mógł to być jeleń, ale mogła i świnia. Zoologiczna część bazy danych wszczepki była nazbyt uboga, by pokusić się o dalsze dookreślenia. Na pewno zaś nie pomieszczono w tej bazie satyrów.

– Przykre, przykre, przykre... – międlił pod nosem Quinn spoglądając z góry na odsłonięte nogi Worman.

Worman w końcu miał tego wszystkiego wyraźnie dosyć. Sztuczny uśmiech już dawno spełzył z jego warg; teraz wykrzywił je nieprzyjemny grymas, po trosze gniewu, po trosze bólu. Przestał się tłumaczyć i tylko popatrywał spode łba na tych, co z kolei jemu się przypatrywali – a było ich już tyle, że otoczyli go kręgiem.

„Pierdzący” leciał coraz szybciej, kołysał się lekko na dłoni wiatru w lewo i w prawo – znacznie jednak częściej i głębiej w lewo. Wszyscy już odruchowo uginali jedną nogę, stali też zawsze lekko przechyleni; nawet policjanci przyswoili sobie nawyk.

– Boli? – spytał Gedeon Wormana. – Mogę znieczulić.

– Tak, proszę – szepnął tamten.

Frank wstał.

– Co znowu za atrakcja! – krzyknął. – Won mi stąd!

Zamachał na nich szeroko rozłożonymi ramionami, niczym zawodowy zaganiacz. Quinna pierwszego złapał za ramię i obrócił w miejscu o sto osiemdziesiąt stopni. Felmach wykulał przez drzwi na korytarz; stamtąd jeszcze posłał leżącemu mężczyźnie długie spojrzenie.

Pozostali również się ociągali. Ostatni wyszedł Minito. Wyszedł na balkon; Gedeon machnął na niego gniewnie, gdy policjant przystanął tam, oparty plecami o krzywą balustradę, i nie wykazywał chęci do zejścia Frankowi z oczu. Ale nie pomogło. Sam więc do niego się pofatygował.

– No co? – wycedził. – Ktoś sprzedawał bilety?

Minito nie wytrzymał jego spojrzenia – ale też nie ruszył się z miejsca. Potarł tylko nasadę nosa i skrzywił się kwaśno.

– Pan coś o tym wie – rzekł. – Zamelduję o wszystkim. O panu też, panie Frank, jeśli to prawdziwe nazwisko, w co wątpię.

– Co? Co? Przyśniła ci się jakaś filmowa afera?

– Taak, wygląda to na sen, na nędzny film, nie da się ukryć...

– Melduj, co chcesz, ale teraz się odczep.

– Nie musisz mi grozić. Wiem, że mógłbyś mi ukrećić głowę.

– Więc tym głupiej postępujesz, skoro myśląc w ten sposób, odstawiasz tu bohatera.

– Możliwe – mruknął Minito. – Dokąd nas ciągniesz? Słyszę, że dostroiłeś sterowiec do siebie. Taka zawołowana forma porwania. Skąd się w ogóle wzięłaś na tej pustyni?

– Dżin mnie przyniósł. Kultywuj tę paranoję, daleko zajdziesz. A teraz won.

– Znasz tego Wormana?

– Won.

Minito dotarł do granicy; na szczęście zorientował się w porę i odstąpił. Gedeon odczekał na balkonie, póki policjant nie zniknął w oknie sąsiedniego mieszkania, skąd dochodziły głosy reszty uratowanych. A wszak to ja ich uratowałem, ja sam – dumiał Frank. Co, może to nieprawda? Rzeczywiście: Samarytanin. Czy podświadomie nie opóźniam swej wędrówki, by jak najpóźniej poznać prawdę o Myi? (Którą już przeczuwam: zmiażdżona, pogruchohana, połamana, jak lalka; nie żyje moja Mya).

„Pierdzący” rozpędził się do swej podróżnej prędkości, mknął kilkanaście metrów nad pustynią. Wiatr cesał włosy Gedeona, masował twarz.

Wrócił Frank do salonu i przeniósł Wormana do kąta, gdzie przeobrażeniec mógł się oprzeć plecami o lekko nachyloną nad nim ścianę.

– Ugryzę pana – ostrzegł Gedeon i ugryzł go. Prócz zwykłego znieczulenia, zaaplikował mężczyźnie antyhistaminówki i sterydy.

– Przepraszam za te wszystkie kłopoty – rzekł Worman. – Naprawdę jestem panu wdzięczny.

Jednak nie patrzył przy tym na Franka a głos miał przytłumiony, zgaszony. Gedeona uderzył kontrast pomiędzy takim Wormanem a Wormanem sprzed paru godzin. Że wyrosły mu kopyta? Wtedy też był ofiarą nieszczęścia, a przecież nie zabiło to w nim złości, nie stłamsiło energii.

Skąd się wzięłaś na pustyni? Znasz tego Wormana?

Gedeon ujął w swoją lewą dłoń Wormana, zacisnął palce na nadgarstku i otworzył ponad jego głową szerokie okno analizatora wariometrycznego.

– W jaki sposób naprawdę znalazłeś się w tych piaskach? – spytał.

Worman drgnął. Impuls przeszedł przez całe ciało – w oknie zatrzepotały cienkie krzywe wykresów

fizjologicznych.

– Wszedłem – odparł.

– Ale nie było żadnej katastrofy samolotowej.

– Była.

– Ale nie leciałeś na Hawaje.

– Nie – przyznał Worman i po raz pierwszy podniósł wzrok na Gedeona. Zaraz jednak opuścił go na dłoń Franka zaciśniętą silnie na swoim przegubie. – Przesłuchujesz mnie – stwierdził. (Gedeon obserwował wykresy). – Przyszedłeś z Hacjendy Czterech Suchych Źródeł. – (Gedeon obserwował wykresy). – Na co patrzysz? Rozpracowujesz mnie? Jesteś podłączony? Zostałem aresztowany? – (Gedeon obserwował wykresy). – Widzi pan, panie Frank, ja zawarłem pakt z Diabłem. Ale on nie dotrzymał swojej części umowy. Oczywiście, mogłem się spodziewać. W głębi duszy jednak, teraz to wiem, pragnąłem zostać oszukany. On zaś jest mistrzem marketingu. Sprzedał mi owoc z drzewa poznania.

– A czego żądał w zamian?

– Tego, żebym ten owoc zerwał. Nawet się nie krył. Powinno mnie ostrzec; a nie ostrzegło: pragnąłem zostać oszukany. Nie ma księdza, więc śledczemu się wypowiadam, potrzebuję cierpliwego inkwizytora. – Krzywy uśmiech (przebłysk prawdziwego Wormaniana).

– Dziwki i gliniarze zawsze bliżej Boga...

– Pan mnie nie wyśmiej; spotykał pan wariatów. On przyszedł wieczorem, przyszedł do mojego domu, nie zarejestrowały go żadne systemy alarmowe, nie było go też w plikach sieci *Neti*. Wyglądało, jak gdybym gadał do samego siebie. Pamiętam jego twarz, jakbym sam ją rzeźbił. Daleko jej do tych demonicznych oblicz szpakowatych Latynosów. W istocie był bardzo sympatyczny i wzbudzał zaufanie. Dopiero gdy przedstawił propozycję, zacząłem się bać; ale wtedy – wtedy już mogłem myśleć tylko o tej propozycji.

– Co dokładnie ci powiedział?

– Wszystko, co byłem w stanie zweryfikować. Tylko na Jad Wszechwiedzy nie znalazłem bezpośrednich potwierdzeń. Ale już mnie miał; i wiedział o tym.

– Jad Wszechwiedzy?

– Tak to nazywał. W rzeczywistości, gdyśmy go już zsyntetyzowali, był konsystencji wody, całkowicie przejrzysty.

– Zamordowałeś kilkadziesiąt osób.

– Tak. To było wliczone. Zresztą, będąc tym, kim jestem, wielokrotnie musiałem dokonywać takich telefonicznych morderstw: kilka słów do sygnetu, śmierć po drugiej stronie globu, kilka słów do komputera, głód w Afryce.

– Kim jesteś?

– Głównym menadżerem Argusa.

– Nie nazywasz się Worman.

– Nie. Leopold de Cress.

– Po co leciałeś do Hacjendy?

– Po prawdziwy Jad.

– Przejęliście formułę.

– Najwidoczniej fałszywą. Nie działał.

Gedeon wyjął z kieszeni woreczek z fiołkami nadefesu.

– Widzisz? Ten jest prawdziwy, nie ma prawdziwszego. Też nie działa. Żaden już nie działa.

Oczy de Cressa załśniły. Poderwał głowę, wysunął do przodu podbródek.

– Więc wierzy mi pan.

– Najprawdopodobniej nie kłamiesz – (Gedeon obserwował wykresy). – Wierzę, że to pamiętasz.  
– Szaleniec.  
– Nie wiem. Wstrzyknąłeś go sobie?  
– W końcu – tak. Najpierw sprawdziliśmy na najętych testmenach.  
– Myślałeś, że tak po prostu wejdiesz do Hacjendy...? Zamierzałeś wybić wszystkich do nogi?  
– Sam już nie wiem, co zamierzałem. Diabeł mnie oszukał. Ale mówił przecież prawdę: Jad istnieje, to jest Jad, daj mi go, niech chociaż dotknę, sam mówisz, że nie działa, co ci szkodzi, daj choć na chwilę...

Gedeon obserwował wykresy, aplikacja interpretująca syczyła mu do ucha szybkie komentarze. Powoli zwyciężała w nich schizofrenia.

– Masz. – Puścił lewą rękę de Cressa i rzucił mu na podolek worek z fiolkami.

Wstał, wyprostował się. De Cress, przykryty jego cieniem, trzęsącymi się dłońmi wydobywał z plastiku szkło. Gedeon zamknął okno analityczne, wyciszył wszczepkę. Spojrzał na kopyta de Cressa. Co one oznaczały? Diabelski stygmat? Co oznaczało zatem jego wpadnięcie w ruchome piaski? Czy koniecznie musiało coś oznaczać? Nie jest to już *mortaccidentosa*, lecz coś bardziej subtelnego... Pamięta Diabła. Cóż, niewątpliwie skądś te informacje otrzymał. Co takiego mówił był na ów temat Fortzhauser...?

Wyszedł na balkon. Jakies zwierzęta goniły sterowiec. *Zoom in: psy*. Przyjrzał się dokładnie i zmienił zdanie. Zmyliła go skala – one miały co najmniej po dwa metry wzrostu. Całe czarne, biegły szczerząc oślinione kły, czerwone jęczory wystawały im z pysków, wąskie, głęboko osadzone ślepia błyszczały narkotycznym podnieceniem. Policzył: dziewięć, czternaście, osiemnaście, dziewiętnaście. Biegły całą sforą za cieniem srebrnego wieloryba. Psy na pustyni, czarne na szaro-żółtym, ruch w otchłani bezruchu.

– Widzi pan je? – Głos z góry; rozpoznał po nim Jeaunoit.

Wychylił się i spojrział. Stała oparta o poręcz, na jej piętrze prosta. Przebrała się w jasnobrązową monobluzkę, spięła włosy.

Wskazywała puszką coli czarną sforę.

– Gonią nas już dłuższą chwilę. Ciekawam, kiedy się zmęczą. W końcu będziemy musieli gdzieś wylądować.

– Może je zgubimy na jakiejś przeszkodzie terenowej.

Jeaunoit pokręciła głową.

– Widziałam, jak przeskoczyły rzekę lawy.

– Co przeskoczyły?

– Rzekę lawy. W każdym razie tak to wyglądało. Płynie przez pustynię z zachodu na wschód, minęliśmy kilkanaście minut temu, już nie widać. Aż nami zakołysało od tego gorąca. Nie poczuł pan?

– Widziała pani coś jeszcze?

– Co?

– Cokolwiek dziwnego.

– Cóż, smoka nie. Jak na razie.

– Gdyby jednak, proszę mnie zawołać.

Psy gnały w milczeniu. Słońce minęło już zenit; prawie dopędziły cień sterowca.

Gedeon wrócił do salonu. Sprawdził puls de Cressa. Zero. Pozbierał nierozbite fiołki i schował do kieszeni. Krew z przerznętych żył na przegubach rąk menadżera ściekała zgodnie z przechyłem *skyhouse'u*. Z kałuży pod ścianą wypływała wąskim strumyczkiem przez balkon i z niego skapywała kroplami na migający w dole piasek. Krople były małe, odrywały się w długich odstępach – na pustyni nie pozostawał żaden dostrzegalny znak czerwieni.

Frank przeszedł balkonem do sąsiedniego mieszkania.

– Czy ktoś z państwa trzymał tu broń? – zapytał. – W domowym sejfie na przykład.

Byli tutaj wszyscy, prócz Tsiena, Moniki i pani Jeaunoit z synkiem. Quinn spał na zwiniętej kołdrze, tuląc przez sen dwulatka w edukacyjnych ledśpioszkach, który zresztą też spał, wcisnąwszy sobie do buzi cały kciuk; pozostali siedzieli w cieniu ścian na stertach pościąganych z innych pomieszczeń tkanin. Jansen właśnie perorował z przejęciem, wymachując złożonym pancernym parasolem, i wejście Gedeona wyraźnie go zirytowało.

– Victor i Herman mają swoje pukawki – warknął. – Bo co?

– Nic o większym kalibrze i zasięgu?

– Wie pan, w *skyhouse'ach* rzadko zdarzają się napady rabunkowe – zauważyła Boritskaya, nie odrywając wzroku od dużego ledbooka, który rozłożyła była sobie na kolanach.

– Więc nikt? – upewnił się Gedeon. Potem zwrócił się do Kluczynsky'ego: – Pożycz mi pan na moment pistolet?

Kluczynsky wymienił spojrzenia z Minito.

– O co chodzi? – spytał, wyraźnie starając się nadać swemu głosowi profesjonalną szorstkość.

– Goni nas stado głodnych potworów. Bez obrazy, ale to ja z nas wszystkich najlepiej strzelam.

Na takie *dictum* poderwali się na nogi – nawet Boritskaya, nawet przebudzony Quinn – i wyszli na rufową galeryjkę.

Stąd widać było czarną sferę jak na dłoni. Pierwsze zwierzęta wskakiwały już w cień sterowca. Dziesięć metrów w pionie, dwadzieścia w poziomie – tyle dzieliło patrzących od żółtych ślepi olbrzymich psów.

– Ktoś tu ostro pogrywa z DNA – mruknęła Fo.

– Więc? – naciskał Frank. – Jak będzie?

Minito sięgnął do kabury, wyjął pistolet i wcisnął go Gedeonowi w dłoń.

Gedeon obejrzał broń, otworzył na słońcu nieprzezroczyste okno ze szczegółowym opisem tego konkretnego typu, sprawdził magazynek (pełny: dwadzieścia pięć naboji), odbezpieczył, przeladował, zważył w dłoni, otworzył panel Gladiatora i uruchomił makro częściowej kontroli fizjologicznej.

Odsunął Minito i pozostałych (Fo właśnie zakładała się z bratem o celność strzałów Franka), stanął w pozycji Weavera (*skyhouse* rytmicznie kołysał się pod nim na boki), uniósł ręce – i zaczął strzelać. Aplikacja snajperska – ta sama, co w trybie domyślnym opisuje każdy potencjalny cel absurdalnym krzakiem wektorów i grządką alfanumeryki – podświetlała mu na skórach psów najwrażliwsze punkty. Amunicja policyjna była wnukiem zwykłej Hydra-Shock (na żadne rozpryskówki, cyjanówki, podkalibrówki czy gazowe minikumulacyjki nie zezwalał regulamin służby) i niekoniecznie każde nią trafienie musiało oznaczać śmierć ofiary. Toteż Gedeon mierzył w świecące punkty.

Pistolet, rzecz jasna, nie miał wbudowanego tłumika i każdy strzał oznaczał głośny, suchy trzask. Frank strzelał bardzo szybko, więc psy zaczęły się rozbiegać dopiero po sześciu trafieniach. Gladiator prowadził jego ręce i oczy, poruszał palcem na spuście. Chciał zabić wszystkie, zaczął zatem od najdalszych i według takiej reguły przesuwiał muszkę.

– Dziewiętnaście – rzekł opuściwszy pistolet. – Ten z lewej jeszcze się rusza, ale już raczej nie pobiegnie.

Fo zaczęła klaskać. Ukłonił się więc. Klaskał również Quinn.

– Do usług, do usług – mamrotał Gedeon. – „Assurance and Safety” Justice Incorporated.

Dwadzieścia cztery godziny na dobę. Polecam się szanownym klientom.

Oddał Minito pistolet.

– Panie Frank! – usłyszał wołanie Jeaunoit. – Przed nami! Pan zobaczy!

Zeskoczył na siatkę asekuracyjną i przebiegł po niej na dziób. Wzdłuż horyzontu rysowała się długa,

równa linia, podkreślona tłusto własnym cieniem. Powiększył obraz. Mur. Za murem – płaski dach budynku. Dolatywali do posiadłości Arance Piedgetrodt.

Zaraz zaczniemy zwalniać, pomyślał Gedeon. Czy wojna mogła się posunąć tak daleko, by zakłócone zostały również transmisje po kablu? Musieliby zainfekować centralę. Nie jest to niewykonalne. Co wówczas? Skręcić na zachód i modlić się, by blokada szarańczy nie sięgała tak daleko?

Potem analizator wizualny dostrzegł wyłaniającą się zza willi Piedgetrodt ciemną chmurę – dym? Coś się pali? Co? Nie sama willa przecież.

„Pierdzący” wciąż zwalniał i opadał. Gedeon polecił mu pomanewrować aktywnie, by zmieścić się *skyhousem* wewnątrz muru. Trzeba będzie się włamać; a jeśli alarm zadziała – to tym lepiej.

Rampa przesunęła się ponad szczytem ogrodzenia, mijając je o włos; później jednak zaczęła ścinać tyczki sieci dozoru, które Frank sam trzy dni wcześniej tu rozstawiał.

Gedeon podszedł do krawędzi siatki, już szykował się zeskoczyć – i wtedy zobaczył Eda Onongoyę. Onongoya był pod duchem; stał na dachu i mierzył do Gedeona z wielkiej strzelby.

– Ed! – zawołał Frank, jednocześnie śląc przez wszczepkę osobisty kod identyfikacyjny.

Tamten opuścił broń i wyszedł z FINV.

Gedeon zeskoczył z siatki – Ed zeskoczył z dachu. Spotkali się przed werandą.

W ślad za Gedeonem, niczym wierny pies, podążał śnieżny masyw sterowca – pochwycił Frank szybkie spojrzenie Onongoyi, posłane ponad jego ramieniem: nazbyt to wielkie, by uwierzyć od pierwszego wejrzenia, umysł żąda dowodów.

– Masz tu dyżur? – spytał Gedeon.

– Taak – odparł Ed. Machinalnym ruchem zabezpieczył strzelbę (dopiero teraz, przemknęło Frankowi). Była to myśliwska Nioda z lunetą szerokokresową. Niody z całą pewnością nie należały do standardowego wyposażenia ochrony „A&S”.

– Co się dzieje?

– To ja się pytam, co się dzieje – westchnął Onongoya. – Gdzieś ty się podziewał? Rąbnąłeś *skyhouse*...?

– To...

– ...długa historia; tak, wiem. Co to za ludzie?

– Mieszkają w nim. Mieszkali. W większości. Bardzo długa historia. Jest łączność z centralą?

– Łączność jest – skrzywił się Ed.

– A czego nie ma?

– Centrali.

Gedeon uniósł brew. Onongoya wzruszył ramionami.

Na werandę wyszła Arance Piedgetrodt. Też trzymała w rękach Niodę. Kuląła. Zamiast lewego ucha miała wielką czerwoną bliznę, trzema szerokimi szramami schodzącą na policzek i szyję. Kontrast z pamięcią także jeśli chodzi o ubranie: teraz była w firmowych dżinsach i popielatym podkoszulku, na nogach błyszczwały ciężkie, skórzane buty o wysokich ergocholewach.

– Mój Boże, to pan.

– Co ona tu robi?

– Chciała jeszcze raz przenocować – odpowiedział Ed. – Uparła się. Czy znowu będą jakieś zwłoki.

– I co, były?

– Żeby tylko zwłoki...!

– Tak, to też długa historia, jak sądzę.

Arance tymczasem zeszła do nich.

– Zdaje się, że byliśmy już na ty – powiedziała podając Gedeonowi dłoń, po czym wygłosiła filmowy komunał: – Nie masz pojęcia, jak się cieszę na twój widok.

– Ciągasz ze sobą mundurowych? – zdziwił się Onongoya, który wciąż zerkał ponad Frankiem na prawie już znieruchomiałą sterownicę.

– Więc co z tą łącznością? Złapię po kablu Santa Barbara?

Onongoya znowu się skrzywił.

– Lepiej chodź i sam zobacz.

– Kim oni są? – spytała równocześnie Arance, bo Fo i Minito zeskoczyli już z rampy na ziemię, zaś Kluczynski i Boritskaya gotowali się, by zeskoczyć.

– Rozbitkowie – rzucił Gedeon wchodząc za Onongoyą po schodach. – Sami ci opowiedzą. Czyń honory domu.

Ex-Cienie weszli do chłodnego wnętrza. Pracowała tu klimatyzacja – Gedeon odetchnął głęboko. Powrót do cywilizacji, pomyślał. Nareszcie koniec błędnej wędrówki.

– Gdzie Mack?

– Nie żyje – odparł Ed i cały optymizm Gedeona momentalnie obrócił się w najgłębsze czarnowidztwo.

– Jak?

– Czerw.

– Co?

– Czerw. „Diuny” nie widziałeś? Taki wielki robak pustynny. Połknął go.

– Jezu.

– Próbowaliśmy przedostać się do miasta. Ledwo uratowałem klientkę. Pożarł też samochód.

– Ale jest tu jeszcze jakiś wóz?

– Dwa.

– Na chodzie?

– Tak.

– Sprawdzaleś?

– Bo co? Nikt ich nie ruszał.

– Zobaczymy. Czerw. Rany boskie. Przecież tu jest twardy grunt, żadne saharyjskie wydmy! Szlag.

Weszli do salonu. Onongoya już bez słowa wskazał Niodą wielką ledtapetę. Na niej otwarty był (zdjęty z roboczej kamery trybu wideofonicznego) widok na gabinet Marii Braven, szefowej dochodzeniówki „A&S”. Fotel Braven stał pusty, puste było także biurko, jego gładki blat kreśliła w poprzek pojedyncza ciemna smuga. W tle widzieli wielkie okno z panoramą LA, tym wyraźniejszą, że samo okno było wybite, zaledowane szyby rozprysnęły się w mlecznobiały szron, który pokrył cienką warstwą zielony dywan gabinetu. Fonia była wyłączona; kiedy Gedeon ją włączył, usłyszeli przeciągły jęk wiatru i echa dochodzących z oddali trzasków, jakby elektrycznych spięć.

– Kiedy to się stało? – spytał cicho Frank.

– Nie wiem. Tak jakoś po świcie. Wróciliśmy, połączyłem się, wszędzie blanki programów wizytacyjnych, tylko tu otwarta wizja. No a na wizji to. *Realtime*. Zwróć uwagę na kąt padania promieni słonecznych.

– Coś z zewnątrz. Wbiło szybę do środka. Nie wyskoczyła.

– Dlaczego niby Braven miałyby wyskakiwać?

– Nie wiem – zirytował się Gedeon. – A dlaczego cokolwiek?

Przez chwilę stali w milczeniu; kontemplowali statyczny obraz. Prócz odległego o ponad sto kilometrów wiatru, słyszeli bliskie na kilka kroków głosy Arance, Fo i Jeauoit.

– Próbowaleś się łączyć na przykład z policją publiczną? – odezwał się Gedeon.

– Wszystko idzie przez sieć centrali, a ona najwyraźniej padła, w każdym razie nie daje swobodnego wyjścia – odparł Ed.

– No tak. Filtry antyterrorystyczne. Kurwa. Muszę się jakoś dostać do Santa Barbara. Słyszałeś o tych tornadach? Mya tam nocowała.

– Przykra sprawa – zmieszał się fenomenurzyn.

– Tak. Wystarczyłoby jedno sprawne łącze. Zjadłbym coś. Macie tu jakieś zapasy?

– Chłodnia pełna, w piwnicy pięć ładnych akumulatorów.

– Przynajmniej tyle. To całe towarzystwo też nieźle wygłodniało.

Przypomniał sobie rozkład pomieszczeń i przeszedł do kuchni. Zanim jednak otworzył drzwi chłodni, zerknął przez okno na północną część posiadłości Piedgetrodt – i już tych drzwi nie otworzył. Kilkanaście metrów od ściany willi otwierała się w sztucznym trawniku wielka, ciemna szczelina, z której buchały pod niebo grube kłęby popielato-żółtych wyziewów.

– Ed – zagadał Gedeon do pierścienia wywoławszy hasło telefonu Onongoyi; ale oczywiście bez rezultatu.

Otworzył więc bezpośrednie łącze przez moduł łączności wszczepki: na tak krótkim dystansie nie powinni mieć żadnych kłopotów, o ile znowu nie zagłuszała ich szarańcza.

Nie zagłuszała.

– Tak?

– Na podwórku wyrósł mały wulkan.

– A, to! No rzeczywiście. W nocy się otworzyło. Jedzie stamtąd siarkowodorem, nie sposób podejść pod wiatr. Ni cholery nie wiem, co za cudo; nie było żadnego trzęsienia ziemi, nie ma tu też na planach żadnych rur.

Gedeon wyszedł na zewnątrz tylnymi drzwiami. Już z cienia willi czuł smród zgniłych jaj idący falami od szczeliny. Zablokował zmysł węchu. Bezpieczny przez olfaktorycznym atakiem, podszedł do krawędzi rozpadliska. Jego szerokość ocenił na nieco ponad cztery metry – co do długości natomiast, to ciągnęło się ono prawie przez cały trawnik. W prawdziwą konfuzję wpędziła go wszelako kwestia głębokości dziury. Analizator wizji poddał się, mimo wykorzystania wszystkich dostępnych dla zmodyfikowanych oczu Franka długości fal elektromagnetycznych. Gedeon podniósł spory kamień i cisnął w szczelinę. Cisza. Czekał, wysyłając receptory soniczne. Cisza, cisza, cisza. Co, u licha, studnia bez dna...?

Od razu zaczął kalkulować: sondy, radar, doppler przenośny... Wtem uderzyła go zupełna absurdalność własnych myśli i poczynań, ich całkowita, komiczna wręcz, nieadekwatność do sytuacji. Zobaczył siebie jako nakręcaną lalkę, która nie potrafi się sprzeciwić naprężeniom sprężyny i będzie wirować w tych swoich piruetach nawet postawiona na wąskiej na cal poręczy tarasu widokowego nad Niagarą. Co właściwie próbuje zmierzyć, na co mu wymiary tej dziury, do czego potrzebne – do niczego. Z lupą w rękę do cudu się skradam – komedia. Aż usiadł na brzegu rozpadliska. Ed dobijał się przez wszczepkę, ale go zignorował.

No o co właściwie mi chodzi? Po co ja się pcham do tego Santa Barbara? I tak już w niczym nie pomogę, niczego nie zmienię. Po co w ogóle dokądkolwiek się spieszyć? Przecież widzę, co się dzieje. To koniec świata; a jeśli nie koniec świata, to w każdym razie coś na tyle doń zbliżonego, że nie do odróżnienia. Semantyczne subtelnosci mają znaczenie dopiero *post factum*. Ten wielki huk w nocy – to było echo trzasku, z jakim złamany został kręgosłup zdrowego rozsądku. Nie zapomniałem Hacjendy.

Jak nakręcona lalka – podniosłem sterowiec, zebrałem tych rozbitków, przywiodłem aż tutaj. I po co? Co dalej? Jakiś cel szczytny, wystarczająco odległy, by było go widać nawet stąd...? Mya, cóż, Mya, na tyle starczyło mi samozaparcia, by skoczyć przez tamten mur, potem już tylko wyrachowanie; nie jestem typem szaleńca. Wyjął aniele pióro, przyjrzał się mu, obracając powoli w palcach. Mój amulet, mój talizman – czy rzeczywiście w ciebie wierzę? Nie masz żadnej mocy; udaję przed samym sobą. Cisnął pióro w szczelinę.

Wściekły, rozżalony, sfrustrowany, zapadający w bagienną mgłę apatii – nie zwrócił Gedeon uwagi

na te powolne, niepewne stąpania, póki męczyzna nie stanął obok niego nad ciemną otchłanią.

Wtedy Frank uniósł wzrok i zobaczył ponad sobą wykrzywioną bólem twarz de Cressa.

Pochwycony w żelazne szpony full-makra Gladiatora, przetoczył się Gedeon w bok i w tył, wstał, odskoczył.

De Cress stał nad szczeliną na szeroko rozstawionych kopytach, kłęby brudnych oparów obmywały mu głowę – a on otwierał usta jeszcze szerzej, wciągał głęboko powietrze, jakby z premedytacją poddając się tej ohydnej inhalacji. Gedeon powiększył obraz wewnętrznych stron jego przegubów – były, co prawda, umazane krwią, jednak nie pozostał tam najmniejszy ślad po brutalnych cięciach wzdłuż żył.

– Wiedziałem – charknął de Cress. – Do samego piekła.

Obrócił lekko głowę i zerknął na Gedeona; spod napiętej skóry twarzy głównego menadżera Argusa wynurzyła się kanciasta rzeźba uśmiechu.

– Tak – odpowiedział na pytanie, którego nikt nie zadał.

Potem uniósł z wysiłkiem prawe kopyto, dał sztywny krok w przód i zwałił się, wciąż wyprostowany, w ciemną czeluść. Nie krzyczał. Spadł w ciszy.

Gedeon, powodowany jakimś podsłownym impulsem, podszedł do krawędzi dziury i zajrzał w ciepłe wyziewy w ślad za de Cressem. Oczywiście niczego nie zobaczył. Stał tak przez chwilę; wyglądało, jakby kopiował pozę de Cressa.

Naraz w jednolitej szarości mignęła mu plamka bieli. Podążył wzrokiem za wskazówką analizatora. To pióro, jego aniele pióro – żeglowało na wirze brudnej mgły, za kolejnymi jego obrotami wznosząc się coraz wyżej i wyżej. Frank złapał je i schował.

– Wtedy, gdy próbowaliście dojechać do miasta samochodem – zagadnął Onongoyę przez wszczepkę – jak daleko dotarliście? I kiedy to było?

– Dzisiaj rano – odparł Ed. – Byliśmy już na autostradzie.

– Czerw dopadł was na autostradzie?

– Rozpruł ją jak pudding.

– Mniejsza z tym. Widzieliście szarańczę? Zarejestrowałeś może echa pracy jakichś mamiłowych emiterów?

– Nie i nie. A o co chodzi?

– Rzuć mi na WER waszą trasę.

– Masz.

Gedeon spojrzał na mapę. Jeśli szarańcza nie przemieściła się znacznie od tamtego czasu – niebo na zachód od ziemi Piedgetrodt powinno być od niej wolne. Pytanie: co ośmielię się postawić na owo „powinno”?

Wrócił do willi.

– Panowie! Panie! Krótkie ćwiczenie z demokracji! Kto leci, kto zostaje?

Z miejsca zrobiło się małe piekło, bo przez ten czas prawie wszyscy zdążyli sobie dokładnie obejrzeć wnętrze gabinetu Braven i poniekąd zupełnie przeszła ochota na powrót do LA. Przeszła między innymi Jansenowi – a skoro tak, Fo głośno nalegała na szybki odlot. Monica podniosła wszakże kwestię złamanej nogi Tsiena. Zostawić rannego? Czy też ryzykować z niepełnosprawnym taki rajd? Ponadto – dwoje dzieci. Ponadto – zwłoki konsula. Wsadzić je do chłodni Piedgetrodt? Wyszła przy tym na jaw profesja D. G. Boritskayej: była zastępcą prokuratora okręgowego. Gliniarze z *highway* patrolu poczuli się w obowiązku poprzeć jej stanowisko – a stała ona na stanowisku przeczekania tutaj w willi do czasu odblokowania łącz, z „Pierdzącym” trzymanym w odwodzie. W ten sposób Gedeon znalazł się w mniejszości (co prawda, należał do niej z definicji). Za sobą miał jedynie Onongoyę (chyba też z racji poczucia lojalności Eda), Fo (cóż za egzotyczny sojusz!) oraz Arance. Arance chciała jak najszybciej opuścić swą posiadłość; wyznała, że ma złe przeczucia co do kolejnej nocy na pustyni. Frank nawet się

jej specjalnie nie dziwił. Po prawdzie, kiedy pomyślał o niewątpliwym spotęgowaniu mortaccidentozy, i jemu dreszcz przeszedł po plecach. Posłał do *skyhouse'u* Eda, żeby obudził i otrzeźwił Tsiena: Su mógł poprzeć Gedeona, licząc na szybką hospitalizację, dawałoby to chyba także głos Moniki I. Tsien wszelako, nawet po ukąszeniu przez Onongoyę, nie potrafił się na nic do końca zdecydować; widocznie znieczulacz Franka zadziałał aż za dobrze. Pani Jeaunoit wystąpiła z propozycją konsensusową: niech ci, co chcą, polecą i sprawdzą okolicę. Przy autostradzie pełno moteli, budek telefonicznych, stacji benzynowych i energetycznych... Potem wrócą i wszyscy zdecydujemy. Arance przypomniała im, że dopiero co wróciła z autostrady i doprawdy niewiele tam zostało do sprawdzania.

Żywa, hałaśliwa dyskusja, jaka w efekcie rozgorzała, przytępiła zmysł apokalipsy Gedeona i omamiła go jaskrawą iluzją zwyczajności. Nie wiadomo więc, jak by się to wszystko skończyło, gdyby nie ciągły podgląd gabinetu Braven. Rozmawiali bowiem w głównym salonie i chcąc nie chcąc co chwila zerkali na ledtapetę. Frank od pewnego momentu zaprzestał udziału w dyskusji i tylko gapił się w to wielkie okno wytrzeszczone na LA. Analizator wizualny pracował pełną mocą, połączony bezpośrednio z komputerem domu. Nie można powiedzieć, żeby Gedeon świadomie oczekiwał znaku – niemniej otrzymał go. Ciemna plama mętnego odbicia, jaka mignęła na jednej ze zwierciadlanych płaszczyzn ścian odległych wysokościowców, po opracowaniu przez analizator, obróceniu i powiększeniu – okazała się pikującym aniołem. Patrząc na jego wirtualny obraz Gedeon niemal słyszał hurgot ciętego przez białoskóre ciało cherubina powietrza. Ręka sięgnęła po pióro.

– Lecę – rzekł wstając. – Kto nie chce tu zostać, niech się ładuje na „Pierdzącego”.

Spojrzał na policjantów, ale oni nie przejawiali chęci do aktywniejszych protestów. Co prawda Onongoya znajdował się w *skyhouse'ie*, lecz Gedeon dysponował Niodą Piedgetrodt. Zresztą Nioda nie czyniła wielkiej różnicy. Widział to w oczach obu gliniarzy: bali się go. Mógł wejść w FINV i spokojnie powyrywać im tchawice. Oczywiście nie zrobiłby tego – ale ich przerażała sama możliwość, bo to możliwość zniszczenia stanowi o władzy nad potencjalną ofiarą, przecież nie destrukcja już dokonana.

Ostatecznie z Gedeonem zabrali się – prócz Onongoyi i Arance – Tsien, Monica i Fo. Piedgetrodt przed opuszczeniem domu zapisała w jego komputerze okresowe zezwolenie użytkownika, na głównego użytkownika wyznaczając Boritską. Zaczęła jeszcze wygłaszać mętne ostrzeżenia o nadchodzącej nocy (a przecież do zmierzchu było ponad osiem godzin). Zdenerwowała tym wszystkich. W końcu Ed odciągnął ją ku siatkowej rampie „Pierdzącego”.

Gdy otworzyły się w brzuchu wieloryba miniszczeliny i buchnął z nich pod wielkim ciśnieniem bezbarwny gaz unosząc lewiatana wzwyż, pięcioro podróźnych znajdowało się już na dziobowej galerijce. Trzeźwy jak świnia Tsien, jak sam stwierdził, nie chciał stracić najdrobniejszego dreszczu emocji i, choć kaleka, przyślizgał się tu na beztarciowym fotelu znalezionym gdzieś przez Monikę. Gedeon ukradkiem obserwował ich twarze. Malowało się na nich delikatnymi półcieniami rysów coś na kształt snobistycznej dumy. My: śmiałkowie. My: święci szaleńcy. Jakże niewiele potrzeba do tytułu bohatera w naszych czasach, pomyślał Frank.

Ponieważ lecieli prosto na zachód, własny cień mieli z boku. Pomiędzy nimi a równym niczym cięcie szablą horyzontem była jedynie pustynia. Póki poza zasięgiem wzroku, LA nie istniało w żadnej konkretnej postaci. Gedeon, który nie zapomniałby Hacjendy, choćby chciał, przysłuchiwał się rzucanym przez pozostałych przypuszczeniom z gorzką wyższością tego, co zajrzał już w pierwszy krąg piekieł. Dopiero pytanie Moniki wyrwało go z melancholijnego zamyślenia.

– Gdzie Worman? – spytała bowiem I. – Zaglądnęłam do tamtego pokoju. Tylko ślady krwi na podłodze. Co z nim?

Miał Frank dwa wyjścia: skłamać mówiąc prawdę lub powiedzieć prawdę kłamiąc.

– Wskoczył do tej dziury na podwórku pani Piedgetrodt – odparł.

– Że jak?

– Że wskoczył. Na własne oczy widziałem. Mogę wam puścić na jakimś ledunku.

– I co? – zaciekawiał się Su. – Skręcił sobie kark?

Gedeon wzruszył ramionami.

– Najprawdopodobniej. Nie dał już znaku życia.

– Nie chciałam konsula – westchnęła Arance – a i tak znowu mam trupa na mojej ziemi.

– Raczej pod ziemią.

– Obojętnie. Kłątwa. – Sięgnęła do plecaka i poczęstowała wszystkich jabłkami śliwkowymi. – Mówił pan... mówiłeś o smoku.

Frank przytaknął. – Widzieli go.

– Tak sobie myślę... – Arance wgrzyła się w owoc, sok pociekł jej po brodzie. Ręka Gedeona wyprzedziła rękę Piedgetrodta i starła go, zanim spłynął jej na bluzkę. Mogła teraz spiorunować Franka wzrokiem lub uśmiechnąć się połową ust. Uśmiechnęła się. – Tak sobie myślę: czerwie i smoki. A wcześniej jeszcze w telewizji widziałam anioły, pterodaktyle, węże morskie, jakieś żelazowe mikroorganizmy w rzekach... Ktoś opanował metodę precyzyjnej interpolacji DNA z fenotypu i teraz syntetyzuje, co mu do głowy przychodzi. Jednorożce, elfy, krasnoludy, gobliny, Obcy tacy, Obcy owacy, wróżki półtoracalowe...

– Co to znaczy: syntetyzuje? – zachnęła się Fo. – To wynikło w ciągu jednej doby na całym globie jednocześnie, w gotowych postaciach...!

– No więc? Co innego? – Arance uniosła brew. – Słucham?

A, co mi tam, pomyślał Gedeon – i opowiedział im wszystko.

Tsien Su był pierwszym, który mu uwierzył.

– Rozumiem – mruknął przeciągle a oczy mu lśniły blaskiem chorobliwej fascynacji.

– Co takiego rozumiesz? – parsknęła Fo.

– Wszystko – uśmiechnął się Su. – To sztuka totalna, kres wszelkich artystycznych realizacji. Ten Czarny pływa sobie z główką w myślni a przez skażoną nadefesem krew posiada moc wyboru nieprawdopodobieństw, czy tak, panie Frank? Wszystko jasne.

Posłali mu spojrzenia tak ponure, że aż zatarł ręce.

– Nie chwytaacie? – zarechotał. – Jakaż prosta symetria! – Ciosem karate rozdzielił przestrzeń przed sobą na dwie połówki. – Tu jest świat materii – wskazał na lewo – a tu jest świat myśli – wskazał na prawo. Potem ułożył z palca wskazującego i kciuka zgrabne kółeczko i umieścił je w płaszczyźnie podziału. – A tu mamy Czarnego. Służę. A raczej projektor. Czy też lustro. Jak zwał, tak zwał. Widzicie już, na czym polega trick?

– Chce pan powiedzieć – zaczął z wahaniem Gedeon – że on po prostu powołuje do istnienia monadalne konglomeraty?

– Zaraz, może źle zrozumiałem pańską opowieść – zastrzegł się jednak Su. – Z tego, co pan nam mówił, wynikało przecież, że ci efeserzy to właśnie robią: przeciągają własne wyobrażenia świata, przyszłości, siebie – na stronę stuprocentowej konieczności istnienia. No a skoro o całości wyobrażeń Czarnego stanowią owe monady, myślنيا, no obojętne, wiecie, o co mi idzie – skoro tak, to co on nam wyczarowywuje? Sny ludzkości, wypadkową myśli miliardów, bajki opowiadane dzieciom w ciemne noce, kreskówki Disneya, postaci i krajobrazy z aktualnych i minionych bestsellerów, bestie archetypiczne, marzenia i koszmary społeczeństw, przeboje kin i telewizji...

– Wspominał pan, że co ten Hunt mówił...? – wtrąciła się Monica. – O jakichś Feleneńczykach...

– Nefeleneńczykach – poprawił ją odruchowo Frank. – Prawdę mówiąc podsłuchałem. Tłumaczył coś Krasnowowi zanim jeszcze...

– Czyż więc nie powinniśmy tu mieć także ich snów? – spytała I.

– Może mamy – wzruszył ramionami Su.

- Po czym odróżnisz? – zainteresowała się Fo.
- Po mackach.
- To chyba powinno iść w proporcjach statystycznych, może ci Obcy znajdują się za daleko, żeby... Znowu zaczęli przerzucać się koncepcjami.

Gedeon pochylił się nad fotelem zadowolonego z siebie Su.

- Pierwsze pojawiły się anioły – powiedział.
- Biblia to bestseller wszechczasów – wzruszył ramionami reżyser. – Uwarunkowanie religijne

najgłębsze.

- Ale, widzi pan, one pojawiły się zanim jeszcze Czarny wstrzyknął sobie nadeses.

Tsien ponownie wzruszył ramionami.

– To są szczegóła drobne. Czas, cóż, czymże jest czas... Ale czy pana nie rusza geometryczna elegancja tej wizji? Niebiosy zstępują na ziemię; niewidzialne stają się widzialne; zawartość naszych dusz spada nam na głowy mięsistym deszczem. Nie czuje pan...? – zapytał i ugryzł jabłko.

- Jakież miałyby być cel tego wszystkiego? – zirytował się Gedeon.

- Cel? – splunął Su. – Cel? Na miłość boską, panie Frank, wizja usprawiedliwia samą siebie!

Gedeon nic na to nie odrzekł. Przeszedł na prawą burtę „Pierdzącego”, w cień; rzeźbiona w gęsty bluszcz balustrada sięgała mu piersi. Sterowiec sunął z pełną prędkością, ziemia migąła kilkanaście metrów pod siatką, wiatr strzelał w oczy ostrymi drobinami pustynnego pyłu, oczy Franka znowu zaczęły łzawić. (Wielka mi bionanotechnologia – pomyślał po raz chyba tysięczny – z głupimi gruczołami łzowymi nie potrafi sobie poradzić).

Oparł się o poręcz. Zza pleców dochodziły go podniesione głosy dyskutantów. Zerknął na timer. Już po pierwszej. Rozejrzał się po osłonecznionej pustyni i dojrzał długą szramę na jej powierzchni: tędy ryl się czerw. Szrama brała się z cienia w zapadlisku. Czerw musiał być istotnie wielki. Ciągnęła się na południowy zachód (czy też na północny wschód – w którą właściwie stronę parł ów gigarobal?). Rzut oka na wirtualną mapę: za chwilę powinniśmy zobaczyć autostradę.

Pióro przyciągnęło dłoń. Wsunął palce do kieszeni, musnął opuszkami twardą biel. Więc tym byłeś, mój aniele: uogólnieniem wyobrażeń... Doprawdy? Co rzekłby profesor Krasnow na teorię Su? Przymknąłby jedno oko, wyszczerzył zęby, pokiwał głową, po czym zadał jakieś pytanie, który rozbiłoby ją w puch. Jakież? Na przykład takie: skoro to, co przewala się przez umysł Czarnego, to są garściami prute z naszych umysłów kłaki archetypów – cóż zatem pchnęło go do rajdu przez kontynent i szturm na Hacjendę? I jakim sposobem ten szturm mu się powiódł? He? Tu Krasnow stęknąłby i stwierdził, żeby się Su tym nie przejmował, bo i tak na pewno ma rację, a to on, dumny, nierzeźbiony staruch, się myli. Na co Tsien mógłby odpowiedzieć jedynie podwójnym przeczeniem – i byłby załatwiony na starcie.

Ale darujmy sobie erystyczną ekwilibrystkę. Czy Su istotnie może mieć rację, chociażby w jakiejś części? Co takiego mówił Bronstein...? No ale z kolei de Cress twierdził, że z wykradzonej formuły nie powstał żaden nowy nadeseserzy. Toteż pozostałby tylko Czarny, ta Vivianne, no i Nicholas Hunt. Jeśli się wzajem kontruja... Z drugiej strony: anioł rzeczywiście pojawił się nad LA o kilka godzin zbyt wcześniej.

Instynktownie spojrział na zachód. Taak: póki poza zasięgiem wzroku, LA nie istniało w żadnej konkretnej postaci. Więc skoro przeważa wyobrażenie... Jakież miasto ujrzymy? Dla jednych – brama raju; dla innych – przedsionek piekieł. Najpierw wszakże powinniśmy dostrzec wielkie naniebne hologramy reklamowe. Chociaż nie, nieprawda: najpierw powinniśmy dostrzec szarańczę, w każdym razie ja i Ed. Jeśli zdążymy przed śmiercią; światło szybsze od strachu.

Mimo wiatru usłyszał kroki i rozpoznał (wszczepka rozpoznała) ich rytm: Arance.

- Jesteś wierzący? – spytała.

- Co za dziwne pytanie. Jak? W co? W kogo? W Boga?

Zmieszała się odrobinę (nierówne tempo oddechu).

– Są takie sekty... To, co opowiedziałeś...

– Tak, wiem.

– Pewne mitologie...

– Ale taka jest prawda. To znaczy, prawda mej pamięci: nie kłamałem.

– Nie oskarżam cię – zachnęła się. – Po prostu... to byłaby nazbyt wielka zmiana. Niezależnie od szczegółowych wyjaśnień, logicznych przyczyn – już nie nauka. Inne kategorie. Cuda. Skok jakościowy.

Gedeon wzruszył ramionami. – Nie wiem.

– Tak, tak. Istnieje pewien próg, powyżej którego świat przestaje być racjonalizowalny i pierwiastek mistyczny wkrada się we wszelkie próby opisu, to znaczy: nawet postrzegania.

– Co za próg?

– Próg długości łańcuchów przyczynowo-skutkowych, ilości nieznanymi nam jeszcze w nich ogniwi.

Padamy ofiarą dwudziestopierwszowiecznego kultu *cargo*.

– Ja nie.

– No cóż, ja na pewno.

Zaprzeczył, ale dłoń czuła na skórze palącą biel pióra. Nie wyjmował tej dłoni z kieszeni. Póki dotykał fragmentu anielego ciała, póty był chroniony tą samą sferą boskości.

Nagle poczuł złość na samego siebie: więc jak to właściwie jest? Czy istotnie wierzę w cuda? Tak czy nie? Zdecyduj się, Gedeon. Pamiętasz faceta z zapalką? A powrót pióra z piekielnej szczeliny? Od kiedy to jesteś człowiekiem przesadnym?

Olśnienie przyszło w stroboskopowym błysku strachu: Mya. Powróciłem do czasów dzieciństwa. Prę na osłep do Santa Barbara, chociaż co się miało stać, stało się już nieodwołalnie pół dnia temu. Ale ja zachowuję się jakby był to zaiste wyścig o jej życie. W ten właśnie sposób funkcjonuje dziecięca logika sprawiedliwości. Stłukł żyrandol i uciekł z domu, lecz wieczorem wracając doń podnosi z chodnika każdy śmieć, pomaga staruszkom, przechodzi przez jezdnię tylko w oznaczonych miejscach – bo wierzy, głęboko wierzy, że osiągnąwszy teraz w stosunku uczynków dobrych do złych jakąś graniczną wartość, odwróci nieszczęście: wszechświat (Bóg) odpłaci mu się, cudownym sposobem chroniąc go przed karą. Najpierwsza to logika. Nie ma szczęścia w kartach, ma szczęście w miłości. Złamał nogę – wygra los na loterii. Powodzi mu się nieprawdopodobnie dobrze – wszystko do czasu. Rodzi się w nędzy, żyje w nędzy, umiera w nędzy – Pan Bóg mu to wynagrodzi (w niebie). Czekają go ważne egzaminy – uśmiecha się nawet do wrogów. Kobieta jest piękna, mądra, bogata – na pewno suka z niej niezemska. Cholernie drogie? – więc musi być bardzo dobre.

Wszystko dąży do równowagi, wyrównania poziomów, balansu stron, minimalizacji ciśnień: świat widzialny i niewidzialny.

I co ja sam robię w trakcie tego wyścigu o życie Myi, który podświadomie uczyniłem przedmiotem zakładu z niebieskimi buchalterami? Też pomagam staruszkom. De Cress w piaskach – wyciągam go. Jeaunoit zraniona – opatruję ranę. Tsien cierpi – znieczulam. *Skyhouse* zdruzgotany – podnoszę. Rozbitkowie zdani na siebie samych i pustynię – prowadzę do oazy. Może się zbilansuje. Może przybędę na czas i okaże się, iż Mya jednak nie zginęła minionej nocy. To silniejsze od jakichkolwiek wszczepek.

Więc czy wierzy? W co? W kogo? W Boga? Tego nie wie. Ale wierzy – jak? Gorąco, żarliwie, głęboko, do krwi; wyłącznie tak.

Z Arance u boku patrzył na czarną taśmę autostrady, ponad którą „Pierdzący” przemknął na wysokości dwudziestu metrów. Przecięli ją pod kątem piętnastu stopni, wewnątrz ostrego kąta znalazło się między innymi stare lotnisko, mijali z lewej przeżarty rdzą hangar, sflaczały rękaw wiatrowskazu, kilkanaście przyczep kempingowych, wrak *Mosquito*, starca w poplamionym kombinezonie odrywającego sobie obcęgami palce. Siedział w pełnym słońcu na środku jedyne go pasu startowego i,

z wysuniętym językiem, potem spływającym po wysokim, pomarszczonym czole, pracował nad lewą dłonią. Co potem zrobi z prawą? – zainteresował przelotnie Gedeon. Odgryzie? Fo krzyczała nań zza pleców, by wylądować i pomóc staremu, ale Frank wiedział lepiej: wzrasta ciśnienie psychomemiczne, myślnia napiera, nie ma ratunku dla dzieci materii.

Potem było jeszcze gorzej. Autostradę stracili już z oczu (według pobieżnych wyliczeń Gedeona wchodziła ona w obszar kryty przez szarańczę), lecz coraz częściej przecinali drogi podrzędne, na których właściwie zupełnie ustał wszelki ruch – a jeśli już widzieli pędzący nimi wóz, to według wszelkiego prawdopodobieństwa była to maszyna jadąca na autopilocie. W oddali mignął im walący stodwudziestką kabriolet ze zwłokami dziecka na siedzeniu obok kierowcy. Zobaczyli też metalowego kleszcza wpitego błyszczącymi karoseriami w przydrożną reklamę narkotyku, jeszcze mu kurz szedł spod odwłoku. Kleszcz napęczniał tak od kolejnych wpadających weń samochodów, zagradzał przecież całą szerokość szosy, błyszczały w nim między innymi barwy policji stanowej. Wszyscy słyszeli dobywający się gdzieś z kolczastych czeluści stalowego robala wysoki krzyk. (Czas czy zasługa? Nie dałbym rady, przyznał jednak przed samym sobą Gedeon. Czas, czas. Słońce coraz niżej).

Za plecami rozgorzała mu tymczasem nowa dyskusja: czy ratować ludzi po drodze, czy zabierać ich na pokład „Pierdzącego”, a jeśli tak, to kogo. Frank uśmiechał się pod nosem. Kto mianowicie miałby ich „ratować”? Kulawy Tsien? A może te trzy rzeźbione, dla których największym dotychczasowym testem sprawności ciała był zapewne całonocny seks bez wspomagania? Wymienił z Edem przez wszczipkę gorzkie uwagi.

Żeby tam chociaż było kogo ratować...! Po prawdzie rozciągał się przed i pod nimi prawdziwy krajobraz po bitwie. Raz już nawet sądzili, że trafił im się taki sam jak oni nieszczęsny rozbitek: ktoś rozpałił ognisko na płaskim dachu przydrożnego baru i machał stamtąd na zbliżający się sterowiec odblaskową folią. Z trzydziestu metrów zobaczyli, co Gedeon i Ed widzieli już wcześniej: że mężczyzna ma wylupione oczy, uśmiecha się szeroko, a to, czym macha, to są jego skrzydła. Był jeszcze w fartuchu kucharza, na ramieniu siedział mu wielki kruk. Krzyczał później za nimi o tajemnicach powietrznych kontynentów (mężczyzna, nie kruk).

Pierwszą spostrzeżoną oznaką zbliżania się do LA nie były jednak naniebne hologramy, lecz wielka chmura ciemności, chwiejąca się na wysokim błękitnie na kilkunastu wąskich filarach dymu. Czarne słupy zdawały się tak wątle jedynie w porównaniu z samą chmurą – musiała się rozciągać na dobre kilkanaście mil. Frank i Onongoya równocześnie zadali swym wszczipkom te same pytania i równocześnie otrzymali identyczne odpowiedzi. To paliły się północne przedmieścia LA. Co prawda pożary w tej okolicy nigdy nie należały do rzadkości, ale to – to był jakiś gigapożar, ogień totalnego zniszczenia, istny pożeracz miast.

Niezauważenie pustynia przeszła w trawiastą równinę. Po tym już mogli dokładnie określić dystans dzielący ich od suburbii LA: ta trawa była konstruktem genetycznym zamówionym przez burmistrza LA, przed laty rozpylano jej nasiona na niezagospodarowanych miejskich gruntach, by przekształcić sprazone ugory w tereny piknikowe. Co prawda żadnych pikników nie widzieli; okolica sprawiała wrażenie wyludnionej.

Przesadzili kolejne wzgórze i spojrzeli w wyloty kilkudziesięciu wycelowanych w nich luf. Na poboczu tej starej, wąskiej drogi, wzdłuż której od jakiegoś czasu się posuwali, stały dwa wojskowe poduszkowce, jeep oraz trikopter.

– Proszę zatrzymać i posadzić maszynę! – ryczały gigantofony. – Proszę zatrzymać i posadzić maszynę!

Gedeon wydał komputerowi sterowca stosowne rozkazy. Oczywiście jednak rozpędzony gigant nie miał możliwości zahamować na tak krótkim dystansie; minęli miejsce postoju wojskowych pojazdów i, zwalniając, lecieli dalej. Jeden z poduszkowców poderwał się, wyprzedził ich i z tej pozycji szachując

sterowiec, wiernie towarzyszył mu w dalszym locie. Skoro tylko stało się jasne, iż „Pierdzący” faktycznie zwalnia, gigantofony zamilkły; po chwili jednak zagrzmiały nowym refrenem: – Proszę zawrócić i przyziemić przy posterunku! Proszę zawrócić i przyziemić przy posterunku!

– Taki tam posterunek...! – parsknął w myślach Onongoya. – Zebrali się do kupy i wspólnie teraz kombinują, w którą stronę uciekać. Widziałeś tych skutych?

– Szerzy się – odmrugnął mu Gedeon.

Kiedy w końcu siatkowa rampa „Pierdzącego” zagrzecotała o ziemię kilkanaście metrów od trikoptera, to on i Ed pierwsi z niej zeskoczyli.

Program taktyczny wszczepki oszacował siłę ognia i stan liczebny grupy. Żołnierzy było jedenaścioro, plus siedem osób spętanych żyłownicami plus maksymalnie trzydzieścioro domyślnych ukrytych we wnętrzach dwóch poduszkowców i trikoptera. Choć w rzeczy samej trikopter był wielki, masywny, trójpoziomowy, z ciężkimi gondolami wyrzutni pocisków powietrze-ziemia, z długim podbrzusznym garbem rekonfiguratora N. Boczne karabiny maszyny obracały się gładko w ciasnych gniazdach w ślad za idącymi jurdami.

Na przeciw wyszedł im rzeźbiony na żołnierską modłę mężczyzna w pełnym bojowym uniformie, z oznaczeniami majora Gwardii Narodowej. Towarzyszyło mu dwoje szeregowców z Anacondami w rękach. Wszyscy troje mieli podniesione przyłbice. Gedeon widział ich twarze – jeśli nie na twarzy majora, to w każdym razie na opalonym obliczu pani szeregowiec malował się wyraz trwałego ośpienia. Szeroko otwarte oczy i rozluźnione mięśnie szczęk potęgowały wrażenie ostrej traumy. Ludziom w takim stanie nie powinno się dawać broni do rąk. Przymus okresowych badań psychiatrycznych ex-Cieni nie stanowił jedynie kolejnego pustego biurokratycznego wymysłu.

– Major Conti – przedstawił się wysoki fenoaryjczyk. – Skąd i dokąd lećcie?

– Z LA i do LA – odparł Gedeon. – To jest ten porwany przez tornado *skyhouse* – wskazał kciukiem za siebie.

– Nic nie wiem o żadnych tornadach – mruknął Conti. – Tak czy inaczej, nie mogę was puścić do miasta.

– O?

– Nastąpiło otwarte skażenie bronią N.

– Szarańcza?

– Tak – przytaknął ponuro major. – Wyrwały się między innymi jednostki siewcze.

– Kiepsko.

– Wiem, że kiepsko. To strefa śmierci. Tną beton i trawia białko. Czy na odwrót. Cieszcie się, że tamto tornado wywiało was na czas.

– A im co się stało?

– Broń C. Najwyraźniej. Widać wyrzygało nam cały arsenał. Polecą główki, oj, polecą...

Więźniowie leżeli w cieniu poduszkowca tak ściśle spętani, że wyglądali niczym sfidiaszowani. Że wszakże nie była to sprawka tego narkotyku, spowalniającego percepcję i blokującego mięśnie, przekonywały połyskujące mimo rzezonego cienia srebrne nitki, spiralnie owijające się wokół ciał.

– Jesteśmy aresztowani?! – wrzeszczał z wysokości balkonu wsparty ciężko o rzeźbioną poręcz Tsien. – Co, może jeszcze będą do nas strzelać?!

Gedeon machnął ku niemu uspokajająco.

– Panie majorze – zwrócił się do Contiego – sytuacja wygląda w ten sposób. Tu w *skyhouse'ie* mamy jednego rannego, na ranczo na wschodzie – trupa i pozostałych rozbitków, w tym dwoje małych dzieci. Ofiar śmiertelnych było, rzecz jasna, bez porównania więcej. Od dłuższego czasu brak jakiegokolwiek łączności. Ludzie się niepokoją o bliskich. Nikt nic nie wie. Po drodze widzieliśmy prawdziwe horrory. My jesteśmy z „*Assurance and Safety*”, eskortujemy klientkę; jednego człowieka pożarł nam na pustyni

robak większy od tego sterowca. Rozumie pan, majorze? Potrzebujemy kilku jasnych i prostych odpowiedzi.

- Jedna jasna i prosta jest taka: my łączności też nie mamy.
- Padła sieć wojskowa?
- Nie wiem, co padło. Wszystko, przypuszczam.
- Więc według pana, co mamy teraz zrobić?

Conti potarł dłonią spocone czoło.

– Nie będę was oszukiwał. Nie dostałem żadnych rozkazów na taką okoliczność. Zatrzymałem was, bo lecieliście ku śmierci. Nie znam położenia żadnych punktów zbornych dla uciekinierów z miasta. Jeśli są jakieś. Prowadzimy nasłuch na wszystkich częstotliwościach, ale łapiemy tylko lokalnych piratów i niekodowane miejscowe łącza prywatne. Satelity milczą. Znajdźcie sobie jakieś bezpieczne miejsce, im dalej od LA, tym lepiej, i przenocujcie tam. Oczekajcie, aż coś się w końcu wyklaruje. Słuchajcie radia. Jak stoicie z zapasami żywności?

– Na parę dni chyba wystarczy. Ta złamana noga...

– Mam tu lekarza, w cywilu technika plastycznego, i niezłe wyposażone ambulatorium – Conti wskazał trikopter. – Zrobimy, co w naszej...

Spod poduszki buchnęło piaskiem, zawył trikopter, siedzący i stojący dotąd spokojnie żołnierze poderwali się naraz na równe nogi i wszyscy – także major oraz dwoje szeregowców – obejrżeli się na południe.

– Co? Co? Co? – krzyczał do wewnętrznego mikrofonu Conti.

Fo i Arance, które już schodziły ze *skyhouse'u* po rampie, teraz zawróciły i skryły się wewnątrz – a może przebiegły na drugą burtę, by spojrzeć z wysokości ponad pagórkami na przyczynę całego zamieszania. Kulał w tamtą stronę po galerijce także Tsien Su. Gedeon i Ed patrzyli pod słońce, między jeepem a pierwszym poduszkowcem – stąd jednak, z ziemi, widzieli tylko podeszwy buciorów wartownika, rozłożonego plackiem na szczycie wzniesienia, za drogą. Co takiego ów wartownik zaraportował?

Kątem oka spojrzął Frank na więźniów. Leżeli bezwładnie. Ślina na wargach, oczy otwarte albo w półprzymknięte, do góry białkami; ruchy – jeśli jakieś w ogóle – powolne, niezgrabne, letargiczne, pozbawione jakiegokolwiek, choćby najbardziej podstawowego celu – tak się pręży i rozpręża meduza wyrzucona na brzeg, nim do reszty przegnije w martwą galaretę.

Trikopter wzbił się w powietrze i pomknął na południe.

Gedeon podszedł bliżej do majora.

– Co się dzieje?

– Kurzawa jakaś... – mruknął Conti i opuścił sobie przyłbicę, by na własne oczy ujrzeć przekazywany z trikoptera obraz. – Widzieliśmy tu już naprawdę dziwne rzeczy. Dmuchamy na zimne. Dobrze wam radzę, zabierajcie się stąd czym prędzej.

– Co na przykład?

– Hę?

– Co na przykład widzieliście?

– Armię potworów. Smoki na niebie. I latające talerze, UFO; nie wolno nam zapominać o zielonych ludzikach. I zamki.

– Zamki?

– Na chmurach. Ten wasz połamaniec – major obejrzał się na sterowiec i wskazał Su – to on?

– Aha.

Conti wydał stosowne rozkazy i dwóch żołnierzy pospieszyło do *skyhouse'u*. Chwilę potrwało, zanim przekonali Tsiena. Ujęli reżysera między siebie i sprowadzili po rampie na przykryty cieniem sterowca

twardy piasek. Towarzyszyła im zdeorientowana Monica I. Doszli do pierwszego poduszkowca i tu Tsien przysiadł na powietrznym kapturze pojazdu. (Ed tymczasem oddalił się ku więźniom; z klinicznym zainteresowaniem zaglądał im w pozbawione wszelkiego wyrazu twarze).

Monica podeszła do Franka.

– Poskładają go? – spytała Monica.

– Mają polowe ambulatorium. – Gedeon wskazał opadający z nieba czarny trikofter.

– Co dalej? Zawracamy?

Frank wzruszył ramionami.

– LA skażone ofensywnym nano. Więc jak myślisz?

– Jezu Chryste. Będą o tym uczyć na historii. Całe miasto?

– Tak mówi major.

– Rozniesie się? Mutowalne?

– Chyba nie. Żadne chałupnicze podróbki: wszystko z zasobów armii.

– A co z tą twoją córką?

– A co ma być?

– Jak się teraz do niej dostaniesz?

– Zajmij się lepiej Tsieniem – odburknął jej Gedeon.

Monica uśmiechnęła się doń ze zrozumieniem.

Oczywistość własnej reakcji zabolą go nawet mocniej od tego uśmiechu. Machnął ręką i odwrócił się od I. Conti zniknął im z oczu, skrył się zapewne w którymś z poduszkowców. Frank zwrócił się do najbliższej stojącego gwardzisty.

– Gdzie na nich trafiliście? – spytał, wskazując wzrokiem spętanych żyłownicami.

– Po drodze – odparł przez barkowy głośnik nieznaney płci żołnierz.

– Gdzie?

– Tu i tam. Pieprzeni kanibale.

– No ale jak...

Świst kul i ogień wzdłuż bicepsu. Od razu zawyły silniki, zatrzeszczał metal, zahuczały wielolufowe karabiny. Szarańcza? – przemknęło padającemu na piasek Gedeonowi. Tyle mu pozostało: domyślać się źródła zagrożenia – bo ciałem zawiadywał w pełni Gladiator. Ale dlaczego kule? – nie mógł pojąć. I dlaczego nie trafiają? Czemu żyją? Toczył się po gorącym piasku ku trikofterowi, Gladiator instynktownie szukał osłony. Musiał zamknąć oczy, małe, ostre ziarna strzelały w powietrze krótkimi wiązkami, do wysokości dwóch metrów szalała wichura wzbudzona nagłym startem obu poduszkowców. Zdał się całkowicie na Gladiatora. Wszczepka pamiętała topografię okolicy i wzajemne położenie wszystkich obiektów; poruszał się na ślepo. Na brzuch – na plecy – na brzuch – na plecy – na brzuch – na nogi – skok. Z tyłu, z lewej, ktoś krzychał (kto? – analizator nie rozpoznał: brak danych porównawczych). Metal pod palcami, gwałtowne szarpnięcie ku górze, dłonie zaciskają się na uchwytych, twarde oparcie pod prawą stopą, tą uniesioną na wysokość pasa. Cios w plecy. Piasek na skórze, jak szczotka ryżowa. Ten, kto krzychał, już nie krzyczy. W dziedzinie dźwięku królują teraz kanciaste bryły przeciągłych eksplozji. Zamknięty w maszynie swego ciała Frank także ich źródła zaledwie domyśla się: to wybuchają kolejne subbalony sterowca. Domyśla się swego ruchu: leci, porwany przez trikofter. Gladiator odblokowuje powieki i oto Gedeon wraca pod władzę najpotężniejszego z wszystkich książąt zmysłów, despoty Wzroku. Wpada do bocznej kabiny trikoftera, za nim zatraskują się pancerne drzwi. Z tyłu, z góry i z przodu dochodzą go ludzkie głosy. W kabinie błyska purpurowe światło alarmu, burtowy ledunek zapala się obrazami pustyni. To już zupełnie inna pustynia, ani śladu po „Pierdzącym” i poduszkowcach. Analizator audio informuje o rozpoznaniu głosu Moniki I – Gedeon przechodzi do tylnej kabiny. Nikt nawet nie zauważa jego pojawienia się. Leżący na

podłodze Tsien wrzeszczy na całe gardło, Monica i pokrwawiony żołnierz starają się go wciągnąć na półkę diagnostera, inny żołnierz krzyczy coś do wargowego mikrofonu. Trikoptyer miota się wciąż na wszystkie strony, skacze w górę i spada w dół (to drugie, wydaje się, zawsze dłużej – człowiek podświadomie oczekuje uderzenia w ziemię, zatrzymuje oddech). Biedny Su objęty jest więc o sprzęty i nogi Moniki oraz żołnierza; tamci też wskutek tych podrygów maszyny co chwila tracą równowagę i puszczają unoszonego Tsiena. I wpada na Franka i wtedy go spostrzega. – Co się dzieje?! – krzyczy mu do ucha. – Nie wiem!! – odkrzykuje Gedeon i zawraca ku dziobowi. Bardziej przeciąga się od uchwytu do uchwytu, aniżeli idzie. Kabina pilotów znajduje się na drugim poziomie i musi się wspiąć po drabince; po drodze mija dwa czarne worki na ciała, pełne. Kabina pilotów nazywa się tak, ponieważ znajduje się w niej bezpośrednio łącze pilotażu ręcznego – normalnie trikoptyer prowadzi komputer i rzadko kiedy ludzki nadzorca zmuszony jest przejąć odeń sterowanie pojazdem. Wcale więc nie jest powiedziane, iż w tej kabinie zostanie Gedeon kogokolwiek.

Zastał majora Contiego.

– Kto nas zaatakował?! – Gedeon padł w sąsiedni fotel, przypiął się, włączył ledunek swojej połowy. Kazał wszczepce rozszyfrować z poszarpanych widoków ogólny kierunek lotu. Południowy zachód, stwierdziła.

– Cholerne żółtki! – zaklął major.

– Co? Kto?

– Klucz myśliwców Zero. Widzisz? O! O! Zastrane zabytki. Wał do nas ze wszystkich karabinów!

Trafiły Duranda.

Japońskie myśliwce z II wojny światowej? Gedeon odszukał wzrokiem stosowny fragment ledunku. Coś tam błyskało na gęstym błękitcie. („Zawsze atakują ze słońca”). Tsien, gruboskórny geniusz, czy to jednak nie nazbyt przestarzałe sny, jak dla twojej teorii? Ileż to lat temu mieszkańcy Zachodniego Wybrzeża bali się japońskiej inwazji, nocnych nalotów zwinnych Zero? Wiek, półtora... Starożytne monady, zaiste. Teraz wszystko wychodzi na wierzch. Spodziewajmy się czarownic z Salem, indiańskich duchów puszczy nieistniejących, bizoniego *manitou*...

– Co ze sterowcem?

– Chyba już po nim. Zrzuciły bombki.

Trikoptyerem ciskało na wszystkie strony – autopilot nim ciskał, uskakując z linii strzału myśliwców. Mimo to co chwila trzaskały o burty – trtrtrtrrrrkkk! trtrtrtrrrrkkk! trtrtrtrrrrkkk! – szybkie ściegi zesłowiecznych pocisków. Jakby ktoś darł metal. Fale dreszczy wysokiej częstotliwości przebiegały po wszystkim, także ciałach ludzi zamkniętych w tej bezokiennej puszczy. Łup w górę, łup w dół – szarość i błękit skaczą na zaledowanych ścianach w te i we w te, linia ich styku wychyla się gwałtownie od poziomu: dwukolorowa huśtawka. Miga jeden budynek, drugi, czarna wstęga szosy, wtem błyska białym reflektorem słońce.

Spróbował Gedeon złapać przez wszczepkę Onongoyę – już za późno, żadnego odzewu. Za późno – ze względu na powiększający się między nimi dystans (ale nie, nie mogli się aż tak oddalić), albo też z uwagi na uszkodzenie wszczepki Onongoyi, co *de facto* musiałyby się równać zniszczeniu mózgu Eda. Czy poduszkowcom udało się uciec? Wątpliwe. A zestrzelić Zero? Ile? Wszystkie? Wątpliwe, mocno wątpliwe.

Znowu: trtrtrtrtrrrrrkkk!

– Dokąd my lecimy?

– Donikąd! – warknął Conti manipulując pod podniesioną przyłbicą przy mikrofonie wargowym. – My uciekamy! A co, potrafisz może zapanować nad tą maszyną?

– Nie mieliście nikogo po przeszkoleniu?

– Leży tam, kurwa, w worku. Fechner! Fechner! Słyszysz ty mnie? A?! Słyszysz?! – To nie było do

trupa, a w mikrofon. I widocznie Fechner usłyszał, bo major wdał się z niewidocznym interlokutorem w szybki, rwany dialog, skupiający się – o ile Frank mógł to wywnioskować z dostępnej mu jego połowy – na problemie kontroli programu zawiadującego uzbrojeniem trikoptera.

Trrrrrkk-trrrrum! Zgasły ledunki. Chwilowa nieważkość: spadali. Potem z powrotem w górę. Wbrew oczekiwaniom nie włączyło się zasilanie awaryjne, w każdym razie nie jeśli chodzi o wewnętrzne instalacje ergonomiczne (sam pojazd mógłby się doskonale obyć bez ludzi w brzuchu, cała ta ergonomia – a więc także kształt trikoptera – tylko go upośledzała, ideał stanowiły wszak tu bezzałogowe Czarne Muchy). Gedeon zamrugął i przeszedł na podczerwień. Conti miał chyba gorączkę. Klął bezradnie, krew nabiegała mu do głowy.

– Najwidoczniej dostaliśmy – skomentował Frank. Mówił powoli, ostrożnie, pilnując się, by nie przygryźć sobie języka. – Zna pan może domyślne ustawienia autopilota?

– Zamknij się! – wrzasnął nań major, po czym z powrotem oddał się recytacji litanii wielosylabowych przekleństw.

Gedeon odpiął się i przetelepał przez niebezpieczną ciemność na tył pierwszego poziomu. Monica i medyk poradzili sobie z Tsieniem – reżyser leżał już pod błoną respiracyjną, pod presją chemii opuścił go duch.

– Gdzie... – zaczął Frank i – ssssstra! mumph! – rozdarty wzdłuż i wszerz, Gladiator wytłumia przeciążeniowe bodźce, odchodzą Gedeona wszelkie zmysły, zredukowany do ziarenka piasku, zapada się jeszcze głębiej, on, on, on, on: jądro nicości. Wszczepka symuluje upływ czasu: minuty, godziny. Co ocalało: wirtualne atrapy, skąpe substytucje analogowego świata. Domyślna architektura prewencyjnej katatonii otoczyła go trójzmysłowymi konstruktami. Wstał z fotela i zapalił lampę naftową. Miodowe cienie zapełgały na boazerii, regałach, skórze książek, czarnych storach. Podszedł do nich, rozsunął. Kryształowe okna zabłysnęły księżycową nocą, wypolerowany mosiężny satelita rozpuszczał się na falach pobliskiego jeziora w wąskie pasma anielskich włosów. Frank spojrzął na zegar. Piąta szesnaście po południu, ale tu zawsze jest noc, noc pełni. Z najwyższej półki zdjął atlas anatomiczny i odnalazł w nim aktualną stronę. Zmiażdżony prawy bok, ręka, obojczyk, biodro, uraz kręgosłupa, pęknięta czaszka. Zajrzał do sąsiedniego działu. Dłoń kaligrafa zaznaczyła czerwonym atramentem regenerowane organy, obok przez wykres równowagi chemicznej pięły się gęste wiązki krzywych.

Z powrotem zapadł się w fotel. Podniósł z blatu biurka dzwonek i potrząsnął nim energicznie, metaliczny łoskot roztrzaskał masywną ciszę. Lecz nikt się nie pojawił na to wezwanie. Gedeon zacisnął lewą dłoń w pięść, prawą pomacał za piórem – oczywiście nie miał żadnego pióra, nie mieściło się w domyślnych ustawieniach reprezentacji. Zapatrzył się w płomień stojący prosto na szerokim, płóciennym knocie wewnątrz szklanej rury. Nie czuł jednak owej perwersyjnie przyjemnej woni nafty: konstrukt był trójzmysłowy. Tak się kończą spóźnione krucjaty, pomyślał Frank. Ogień stał nieruchomo. Tak się kończą: wulgarną klęską, pozbawioną najdrobniejszego odcienia patetyczności. Zdycha w pułapce wraku trikoptera, gdzieś na wietrznym pustkowiu. Nikogo donikąd nie doprowadził, nikomu życia nie uratował (a już na pewno nie Myi). Sterowiec: kilkuminutowa kula ognia. Arance i Fo: popiół i czarne kości. T sien i Monica: pogrzebani razem ze mną. Ed? Zapewne rozsiekany przez Zero. Może więc ci, co zostali w willi Piedgetrodt? Jeśli nawet, to wbrew moim radom. Ale cóż (kwaśny uśmiech na twarzy), takie właśnie jest życie; w odróżnieniu od filmów: nie posiada puenty. Długa lista widowiskowych przewag nie gwarantuje uniknięcia przypadkowej kuli. Kto właściwie, czyj automat strzelał do mnie tam na pustyni, za tym trupem? Nigdy się nie dowiem. Zdarzyło się; tyle. Bo gdyby był to film – gdyby był to film, samo przeskoczenie przez mur Hacjendy i udana ucieczka spod luf systemu strażniczego dawałyby mi absolutną pewność powodzenia całego przedsięwzięcia. Dotarłbym do LA, jakimś cudem uratował Myę, może i Ursulę (pogodzenie we łzach i deszczu); jak dwa a dwa cztery. Ale to właśnie nie jest film. Błąkam się jak głupi po pustyni cudów, w te i we w te, zbieram przypadkowych

rozbitków, wreszcie rozpieprzam się w trikopterze Gwardii Narodowej, zestrzelony przez kolejne cuda, których po prawdzie nawet dobrze nie widziałem; i to wszystko też przez przypadek. No i niech mi kto wykaże sensowność podobnej linii fabularnej...! Niepodobna. Demiurg był leniwy i rzucał monetą: lewo – prawo.

Ponownie zerknął na zegar. Ósma czterdzieści. Spojrzał na rozłożony na biurku atlas anatomiczny. Rysunek coraz bardziej przypominał przekrój zdrowego organizmu *homo sapiens sapiens*. Spojrzał na wykres. Potem wrócił wzrokiem do naftowego płomienia, on uspokaja. Drgnięcia ognia, tak regularne i szybkie, że niedostrzegalne dla świadomej części mózgu, potrafią wywołać w umyśle miękki rezonans, wprowadzić go w stany zgoła hipnotyczne. Gedeon patrzył nie mrugając. A zatem (dłoń szuka pióra) dożyliśmy czasów końca. Chwila jest bliska, wypełnia się przeznaczenie. Lecz – jakie to przeznaczenie? czy w ogóle jakiegokolwiek? kto je wykreślał? – nie nam to wiedzieć, lalkom w teatrze cieni. Możemy jedynie w drewnianym strachu obserwować biegnącą po papierowym ekranie linię pożogi.

Otworzył szufladę i wyjął rewolwer. Ciężki Colt, spieczony z chropowatej stali, wypełnił mu ciepłą dłoń formą utajonej mocy. Unieść, odciągnąć kurek, pocałować lufą skroń, szarpnąć spust. Ostateczny, twarde reset systemu; może ktoś jeszcze potem próbować zimnego startu, ale raczej już mu się nie uda, zbyt głęboko sięgają w szarą masę korzenie nanomaszyny, autodestrukcja równa się tu śmierci. *Flatline*, DNR. Płomień dawał mu spokój, którego nie dałoby mu nic innego; płomień oraz grubo heblowane sztuczne bodźce, toporna nirwana trzech zmysłów.

A jednak nie było w nim woli. Żadnej: ani do śmierci, ani do życia. Wyjęty z tej interakcyjnej maszyny świata rzeczywistego utracił zupełnie impet. Obracał teraz w dłoni Colta. Zabawka; wszystko zabawka. W ścianie na przeciwko otworzyły się drzwi, buchnęła zza nich wełnista jasność. Rzut oka na wąsaty cyferblat: dziewięta dwadzieścia. Rewolwer czy drzwi, rewolwer czy drzwi, też rzut monetą, wszyscy rzucamy. Wstał zza biurka, postąpił ku światłu. Colt – ciężki, zimny, nieporęczny. (Druga dłoń sięga za piórem). Odruchowo mrużył oczy, odwracał głowę. Obejrzał się na własny cień, kałużę roztopionego wstydu. (Rewolwer czy drzwi, rewolwer czy...) Pierwszy krok zawsze bezmyślny. Usłyszał jeszcze lupnięcie broni o przykryty dywanem parkiet. Potem obróciły się zwrotnice słuchu.

Z tyłu kapą powoli ciężka ciecz, plum, plum, półtorej kropli na sekundę. Otworzył oczy i ujrzał, jak stygną czyjeś jelita. Dźwięk spadających kropli zagłuszało jednostajne bzyczenie wielkich much; chodziły także po Gedeonie, jedną czuła na prawej brwi, jedną na wargach. Poruszył głowę. Nie odleciały. Poruszył ponownie – żadnego bólu. Leżał na prawym boku, na pochylej płaszczyźnie, przechylonej pod kątem trzydziestu stopni. Wrócił do zwykłego spektrum i zobaczył, że nadal znajduje się w ambulatorium trikoptera, to znaczy w jego szczątkach: ściany i przymocowane do nich sprzęty sprasowało w kubistyczną abstrakcję, Escherowską rzeźbę ostrych krawędzi i graniastych wypiętrzeń. Światło łało się z lewa, rozproszone, z kierunku domniemanego rozdarcia w burcie; w tamtą też stronę chyliła się cała konstrukcja. Gedeon napiął po kolei wszystkie mięśnie. Nacisk na uda nie był na tyle duży, by uwięzić go tu na dobre. Niewykluźone jednak, iż specyfika układu wzajemnych naprężeń i podpór, w jaki przemienił się zmiażdżony trikopter, spowoduje, że wysunięcie się zeń nóg Franka zwali mu na głowę resztę utrzymywanej dotąd w delikatnym balansie lawiny złomu. Nie miał możliwości tego sprawdzić, przyjdzie mu zaryzykować. Wątpliwe również, czy przeżył ktoś prócz Gedeona – zważywszy, że przez te wszystkie godziny nie zjawił się z żadną pomocą. Choć może również tkwił tu zakleszczony. Na wszelki wypadek Frank zawołał kilkakrotnie. Nasłuchiwał potem przez parę minut. Analizator audio, zawsze gotów do pomocy, zalał trwającego w fidiaszowym bezruchu Gedeona kaskadami płytszych i głębszych interpretacji poszczególnych dźwięków. Wyzbierał z tła wiązki szumów, wysokoczęstotliwościowe zgrzyty, długie echa jakichś hałasów – i dał ogólną prognozę lokalizacji: miasto, duże miasto. Gedeon tymczasem programował jednorazowe makro Gladiatora. Układał pod edytorem ruchów wariantową sekwencję możliwie szybkiej i ostrożnej ucieczki z domniemanej pułapki.

Jednocześnie (dystrakcyjny multitasking) śledził w półmroku węzową drogę cuchnących jelit, usiłując dociec tożsamości ich właściciela, oraz przewijał *life-replay* ostatnich minut sprzed powtórnego trafienia (gdzie pióro?). Ukończywszy makro, obrócił je dwakroć na symulatorze i włączył krótki zegar. Pięć, cztery, trzy, menedżer fizjologii uspokaja oddech oraz tętno, dwa, jeden – ruch. Ramiona – barki – kolana – stopy – ramiona – mięśnie nóg – ramiona – ramiona – kostki i wiązadła – uda – ścięgna – prawa dłoń – Achilles – łydka – trójgłowy – lewy biceps – stopa – ręce – grzbiet – wstaje z przewrotki na równe nogi – *done*. Akurat ma czas jeszcze się obejrzeć i pochwycić obraz spadającego trikoptera: zsunąwszy się z wąskiej estakady wiszącej siedem metrów wyżej i cztery metry z prawej, runął on w szeroki kanion ulicy, głośno grzechocząc połamanymi wirnikami. Trzask, skacze iskra skojarzenia: kiedyś ustrzelił tak obraz spadającego anioła. Serafini technologii są jednak znacznie brzydsi, zwłaszcza w klęsce, fizyka w takich razach okrutniejsza od biologii. Trzask: pióro. Sięga, wyjmuje. Czarny wylew wstydu powtarza ruch na gładkiej powierzchni estakady, na której Gedeon stoi. Słońce chyli się ku zachodowi, to dlatego. Wstyd niczym jezioro ropy, mógłby w nim utonąć, przyciąga, przykuwa wzrok, przelewa się z formy w formę, każda obelżywa. Z wielkim trudem unosi Gedeon Frank spojrzenie. A tam –

## Konwersja

Rozsiekany przez wirniki bezzałogowego policyjnego śmigłowca spada anioł w uliczny kanion rzadką chmurą białych piór i czerwonego mięsa. Na wieczornym nieboskłonie pręży się purpurowy smok. Pod jego łapami zakwitają wielkie kule ognia, sztandary płomieni opadają z nich na dachy wieżowców wywołując krótkie pożary. Od wschodu zaciąga się nieboskłon szarańczą, zapada powoli mrok, choć słońce przecież jeszcze nie zaszło; widać fragment jego czerwonej tarczy w szczelinie między budynkami, strzelające stamtąd światło kreśli długi cień na powierzchni chodnika zawieszzonego sześćdziesiąt metrów ponad dnem miejskiego kanionu i właśnie ten cień powtarza ruchy Gedeona: ręka w górę, ręka w dół; aniele pióro furkocze na wietrze.

Naga kobieta z krwawiącym kikutom prawej dłoni przebiega obok; krzyczy biorąc rozbieg, wreszcie wykonuje ostatni krok i skacze w przepaść. Frank niewzruszenie zatacza piórem kręgi. Estakadą pod chodnikiem kroczy Mojżesz wielkości Statuty Wolności, zrobiony jest z mgły, ale gdy krzyczy, drżą liście na drzewach. Gedeon (pióro w dłoni) widzi zaś niewidzialne, milionkroć rzadsze od Mojżeszowej mgły, i na jego zbliżanie się reaguje spowolnieniem ruchów ręki pióra. Lecz wtem niewidzialne staje się widzialne i rzucającego cień otacza wir śmierci, wysoka na cztery metry ciasna spirala mikroziaren rozpędzonych do prędkości, przy których tną stal niczym papier. Gedeon wbija sobie pióro w przedramię i skacze z miejsca w górę na prawie pięć metrów, w locie wykonuje salto, po czym chwyta cieńszą od włosa strunę podtrzymującą sąsiedni chodnik. Struna tnie mu ciało dłoni, ale zatrzymuje się na kościach. Gedeon rozhuśtuje się i skacze na przyścienny taras wieżowca, wieżowca o ścianie z czarnych nibyszklanych tafli, z których dwie trzecie jest rozbitych bądź pękniętych. Lądując na tarasie ma już dłonie na powrót całkowicie zdrowe.

Na tarasie siedzi dwu i półmetrowy fenomurzyn i zjada sobie palce u nóg. Jest w kosztownym garniturze wysoko notowanego biznesmena, tatuaż jurydyczny pokrywa mu skronie, pierścień telefoniczny ma z platyny. Zdjął tabi i teraz odgryza i przeżuwa palce, akrobatycznym sposobem przyciągnąwszy stopę do ust. Mężczyznę, który spadł z nieba, obrzuca twardym spojrzeniem i wraca do przerwanej na tę krótką chwilę aktu autokanibalizmu.

Frank (pióro w dłoni) wbiega do zewnętrznej windy i zjeżdża na dół. Tu wpada na zwierzę, które nazywa się Tłum. Niemal czuje jego promieniowanie i aż wzdryga się odeń, ale zaraz wszczepka wygładza mu umysł. Coś jednak zostaje: obrazy, dźwięki, odczucia nienazywalne. Z trudem się

powstrzymuje przed rozwinięciem skrzydeł, wypełnieniem gardzieli odbytowych kwaśną lawą siarczaną, przelknięciem plazmy. Tłum tymczasem obraca ku niemu swą twarz i otwiera usta. – Rraaaaa! – Wyglądają jak ludzie, ale nie są ludźmi. Są czymś mniej; są czymś więcej. Biegną, czołgają się, toczą, pełzną, są pchani i ciągnięci – ku Gedeonowi, który nie należy do Tłumu. Ten szybką myślą wydaje rozkaz i staje się niewidzialny – ale Tłum widzi go i tak. Wówczas bierze zakrwawione pióro między zęby i puszcza się w długi sprint, byle dalej od Tłumu. Biegnie szybciej od psów, które z szaleńczym ujadaniem gonią się wzajem ulicami miasta. Dopada budki telefonicznej i zamyka się w niej, szyby natychmiast ciemnieją.

Od lat nie korzystał z materialnych telefonów, a już chyba nigdy – z tych w budkach. – Proszę o numer lub inne dane specyfikujące – odzywa się budka rozwierając paszczkę inkasatora. Gedeon wciska w nią piść, na drugą dłoń wypluwa aniele pióro i podaje nazwisko i adres Myi. Nikt nie odbiera. Trzykroć ponawia próbę. Bez skutku.

Wychodzi z budki. Niebo jest już całkowicie czarne od szarańczy oraz wyrzyganej przez nią drobnoziarnistej zawiesiny śmierci. Nie widać smoka, nie widać ognia. Wiatr układa w powietrzu z podniesionych śmieci i kurzu dziwne trójwymiarowe obrazy: postaci ludzkie-nieludzkie, poskręcane krajobrazy, przedmioty wyrwane z przestrzeni nieeuklidesowych. Leżącemu za budką trupowi kilkuletniego dziecka zrasta się rozbita czaszka, dziecko podnosi się i odchodzi pochlipując cicho. Gedeon rozgląda się, nagle bezradny, pozbawiony celu i motywacji.

Słyszy grzmot. Ogląda się ku źródłu fali. To zapadają się wysokościowce centrum. Zapadają się nie ku ziemi, lecz w siebie, a potem wykręcają się – każdy w spiralę; spirala splata się i rozplata, łączy z innymi – i wówczas nie są to już budynki, lecz wielka roślina/zwierzę/maszyna/góra/potwór. Ma tysiąc rąk, milion wici, tuziny gigantycznych trybów odlanych z najgłębszej czerni, pręży się i rozdyma, drze i zrasta, pęka i zabudowuje rozwarłe na przestrzał trzech znanych wymiarów przestrzenie. Jest zbyt nieprawdopodobna, by w nią uwierzyć; zbyt absurdalna, by pomieścić ją miejski krajobraz. Frank odwraca wzrok. Dostrzega samotną mackę Tłumu, która, podkradłszy się, szykuje się teraz, by stalowym ułamkiem rozplatać mu gardło. Gedeon łamie nastolatкови kręgosłup.

Ziemia drży. Coś wydobywa się ze szczelin w chodnikach: gaz, mgła, dym. Ex-Cień rozkazuje swemu wegetatywnemu układowi nerwowemu zaprzestać oddychania. Idzie przez mgłę. Zabity nastolatek podrywa się i skacze mu na plecy. Gedeon wyrzywa napastnikowi serce. Żółto-brunatną mgłę przebijają widoczne w niej teraz igły laserów, biją skądś z nieba, z ciemności. Frank mruga i odtąd ogląda świat w podczerwieni. Nastolatek z wyrwanym sercem rzuca w niego kamieniami. Gedeon dogania go, ukręca mu i odrywa głowę i przywiązuje ją sobie za długie włosy do pasa. Dochodzi do skrzyżowania. Stoi tu, pod kolumną automatycznego kierowania ruchem ulicznym, anioł z wielkim mieczem ognistym w prawej garści. Miecz płonie przechodząc swymi kolorami przez całe spektrum. Jest ogromny, lecz anioł włada nim swobodnie jedną ręką.

Gedeon wychodzi z mgły i pokazuje aniołowi czerwono-białe pióro. Anioł kiwa głową oraz mieczem. – Dokąd? – pyta. Gedeon bierze jeden oddech i odpowiada: – Do domu. – Nie ma już domów – rzecze anioł a twarz ma jak granitowa płaskorzeźba. Gedeon bierze drugi oddech i mówi: – Do córki. – Nie ma już córek. – Gedeon bierze trzeci oddech i wówczas przestrzeń za aniołem rozdziela się w pionową szczelinę, bucha z niej gorąca wichura, od której gną się wielkie skrzydła, i ze szczeliny wychodzi człowiek o czaszce o nienaturalnym kształcie. Spogląda na anioła: anioł eksploduje. Spogląda na Franka (pióro w dłoni).

– Czarny – szepcze ten, po czym wbija sobie pióro w lewe oko.

I zaczyna się bój.

## Jan Handelman

– Strzelałem do ciebie.

Ponieważ to powiedział, ponieważ po raz pierwszy się odezwał – Gedeon zatrzymał imadło swych rąk i nie złamał Czarnemu karku.

– Co?

– Strzelałem do ciebie. Tak. Pamiętam. Pamiętam! Trafiłem! – Już się śmiał, już chichotał pod nosem zmasakrowany Czarny, pluł tymi słowami na przemian z flegmowatą krwią.

Gedeon pchnął i powalił Czarnego na bruk, ramiona wygiął mu za plecy, przycisnął kolanem. Lewą dłonią złapał go za włosy i szarpnął głowę mężczyzny. Odczekał chwilę, przywracając oddechowi naturalny rytm, po czym ukąsił telepatę głęboko w szyję.

– Dlaczego mnie nie zabiłeś? – spytał. – Jak anioła. Dlaczego?

– Pamiętam! Pamiętam! Pamiętam! – zachłystywał się tamten.

– Dlaczego mnie nie zabiłeś? Dlaczego mnie nie zabiłeś? Dlaczego mnie nie...

Ale najwyraźniej podręczna chemia nie wystarczyła, Czarny jakoś nie czuł przymusu spowiedzi. Gedeon zerwał sobie zębami paznokiec z kciuka. Srebrny wij wyskoczył z ciała, zadrzał, wyprężył się i wgrzył pod potylicę Czarnego. Z uwagi na zmieniony kształt jego głowy, domyślne przeobrażenie mózgu, Frank spodziewał się kłopotów przy rozpoznawaniu ścieżek neuronalnych telepaty – i istotnie, wirtualny zarządca oznajmił mu o niestandardowych formach organizacji tkanek, obniżonym prawdopodobieństwie bezszokowych przyłączy. Gedeon wszakże polecił mu kontynuować procedurę. Struna rozwijała się dalej. Trzymał Czarnego w żelaznym uścisku, gałka oczna zasklepiła już mlecznym bielmem ranę, w której tkwiło aniele pióro, przestała więc zeń ciec krwawa maź, na kark Czarnego spadły były tylko trzy krople.

Wiatr do reszty rozpedził trujące mgły, odsłoniło się uliczne pobojuwisko. Skrzyżowanie wyglądało jak po pierzynowej wojnie, wszędzie na powierzchni jezdni i chodników bieleły się aniele pióra, poszczepiane w fraktalowe formy, wzory bliźniacze szkieletom płatków śniegu – tylko że te tutaj miały po metr, dwa, kładły się na ziemi kunsztownymi mandalami, wiatr je omijał z daleka. Tylko pod kolumną sterowania ruchem (która wciąż migotała światłami i zapewne słała też po okolicy elektromagnetyczne komendy, choć jedyny ruch na ulicy, to był ten zrodzony z gniewu powietrza), tylko tam kontrastował z bielą asymetryczny wrzód gorącej czerwieni, powidok anielej cielesności.

Zakuty w nierozrywalny uścisk Gedeona zamilkł wtem Czarny w pół słowa, zeszytywniał, otworzył szeroko oczy i usta, wrzasnął chrapliwie resztką oddechu, po czym wpadł w jakąś epileptyczną drgawicę, tak silną, że omal nie zrzucił z siebie trzęsącego się wraz z nim Franka. Frank musiał chronić jego głowę, płasawiczne zrywy były na tyle gwałtowne, że telepata najpewniej roztrzaskałby ją sobie w kilku uderzeniach; nadto mógłby zerwać neurostrunę, mimo maksymalnego jej popuszczenia.

Potem zwiotczał. Gedeon zwolnił uścisk, usiadł obok na krawężniku. Czarny leżał bezwładnie, twarzą do dołu. Dzieliło ich pół metra brudnego chodnika, łączyło pół metra srebrnej nici. Frank zwizualizował 3D ciało subiekta. Lalka leżała w identycznej pozie, rączki i nóżki rozrzucone. Paroma myślami posadził ją sztywno, wyprostował. Czarny zaczął się poruszać. Z drewnianą nieporadnością dźwignął się na czworaki, przewrócił na bok, podciągnął, usiadł na krawężniku po lewej stronie Gedeona, unióśł głowę. Osiągnąwszy zadaną pozycję, zamarł.

– Oddaj mi córkę.

Odblokował Czarnemu głowę, żeby tamten mógł odpowiedzieć. Zaraz zdał sobie sprawę ze znaczenia tego odruchu: gdyby naprawdę wierzył w spełnienie owego żądania, nie czekałby żadnej werbalnej odpowiedzi. Zażęknął za zimnym Coltem usprawiedliwionej eutanazji.

– Pamiętam... – chrzypnął Czarny. – Odmawiam ci, a ty mnie zabijasz.

– Nie zabiję cię.  
– Tak. Pamiętam.  
– Co, u licha, pamiętasz?  
– Boga, który szczał mi do głowy. – Podbródkiem wskazał centrum, skąd przeżył się w niebo niemożliwy potwór/roślina/zwierzę/maszyna/góra. – Obwieści się namiestnik zwycięzcy.  
– Co ja ci tu będę... Jesteś telepatą i...  
– Nie.  
– Co: nie?  
– Już nie jestem. Zawiązali mnie tak ciasno, że prawie nie słyszę samego siebie. – Zamrugął w chwilowym zmieszaniu; potem wszakże wyszczerzył się krzywo do Gedeona. – Pamiętam, ale nie jestem, nie jestem tobą!  
– Zabijeś anioła.  
– Nie.  
– Co: nie? – warknął zirytowany Frank.  
– Nie ja. Ja... nic. To ten pusty bóg, którego bym sobie wyhodował na strzaskanym mózgu.  
– Więc niech ten bóg..  
– Ale on nigdy nie istniał. I już nie zaistnieje.  
Gedeon się wściekł. Przypalił lalce genitalia.  
Czarny wrzasnął i zemdłał.  
Gedeon wlał w lalkę biały dym.  
Czarny oprzytomniał.  
– Nie pogrywaj ze mną – szepnął mu Frank. – Zwróc mi ją, wskrześ, jeśli trzeba.  
– Przecież ty jej wcale nie...  
Gedeon złamał lalce nogę.  
– Słyszysz? – syczał. – Otwórz przynajmniej przejście.  
– Idiota – powiedziała przywiązana do pasa Franka głowa nastolatka.  
– Głupiec, niewątpliwie – przytaknął jej Czarny, złapawszy oddech.  
Gedeon łypnął nań jedynym sprawnym okiem. Następnie spojrzął na głowę. Pokazała mu język.  
Odwiązał ją i cisnął przez rozbite okno do wnętrza pubu.  
– Więc nie chcesz – rzekł Czarnemu. – Ale ja się nie poddam. Nie poddam. Nie poddam. Nie poddam. Nigdy. Nie.  
Ciągnij, polecił wszczepce. W następnej sekundzie załala go zawartość mózgu subiekta. Aż struna zawibrowała.  
Czarny siedział w bezruchu, bo nie był w stanie się poruszyć, tylko twarz mu pozostała dla wyrażania cierpienia. Podczas gdy trwał ów mentalny gwałt, on skupiał całą swą wolę na utrzymaniu spojrzenia na wbitym w oko Franka piórze. Im mniejszy szczegół, tym dalej od ciała. Pióro, pióro, pióro, pióro. Koniuszek lotki zataczał kółka, coraz szybciej, w miarę jak postępował transfer i Gedeon tracił panowanie nad ciałem.  
Potem pióro znieruchomiło, zniknął ból, cofnął się paraliż. Czarny padł na chodnik. Leżąc zobaczył jeszcze odpełzającą odeń srebrną wic. Zamknął oczy. Twardość chodnika i szum oddechu, to były granice wszechświata.  
Big Bang, gdy nadszedł wraz z czasem i tęsknotą, rozdał go na całe skrzyżowanie. Podciągnął się pod ścianę i oparł o nią. Stąd patrzył na Gedeona. Ex-Cień posuwał się na kolanach wzdłuż przeciwnego chodnika. Podnosił ostrożnie każde dostrzeżone pióro, po czym wbijał je sobie mocno – w ramię, w kark, w pierś, w plecy. Był nagi do pasa, na okrwawionej skórze stroszyły się już setki sztywnych piór. Za każdym przesunięciem kolan, sięgnięciem ręki – szeleściły głośno.

Do zachodu słońca oczyścił w ten sposób prawie całe skrzyżowanie. Czarny obserwował go w milczeniu. Raz przebiegł pies, dwa razy tłum, na nowo roznieśli po jezdni resztkę piór. Gedeon wytrwale maszerował na klęczkach. Miał już cień na ćwierć przecznicy. Stopniowo jednak automatyczne oświetlenie, reklamy i hologramy zdominowały słońce i cień rozmienił się na drobne. Frank kolekcjonował ostatnie lotki. Od strony centrum dochodziła głośna muzyka, coś jakby syntetyzatorowe basy przeplatane zgrzytliwym jazzem.

Czarny odruchowo zerknął na przegub i zorientował się, że nie ma zegarka, nie ma niczego, jest nagi. Westchnął i wstał. Równocześnie powstał z klęczek Gedeon i ta niespodziewana symetria ich ruchów związała uwagę Czarnego. Gedeon stał z rozłożonymi szeroko ramionami, spod grzywy śnieżnych piór nie było widać jego tułowia, barków, ni twarzy. Zakwilił cicho i zacisnął pięści. Następnie wyrwał pióro ze swego oka. Ulicą buchnął gorący wiatr, gęste upierzenie zaszumiało zaskakująco donośnie, Czarny zobaczył jak odrywa się ono od Franka wielkimi płatami i obraca w wirach rozpędzonego powietrza za jego plecami; Frank pochylił się przeciwko wiatrowi, biel łopotała za nim i ponad nim, ponownie rozłożył ramiona, ścierane z twarzy oraz piersi pióra obmywały go z obu stron niczym sztucznie barwione strumienie gazów w tunelu aerodynamicznym. Zgarbił się i sztandary bieli rozciągnięte nad jego grzbietem pochwyciły w siebie wichurę. Oderwał stopy od chodnika. Wiatr kolebał nim teraz w tył i w przód. Wyprężył się Gedeon jak struna. Biel powiększała się, był coraz wyżej, symetryczne krzywizny wynosiły go ponad cienie, ponad wiatr, ponad miasto, Los Angeles zmierzchu, w mroczne niebo.

Czarny wszedł do pubu. Głowa leżała na barze, zrzucił ją. Usiadł na wysokim stołku i nalał sobie czystej. Przechylając się ponad ladą dostrzegł barmankę, zwiniętą w kącie w ciasny kłębek – leżała, fenohinduska, z szeroko otwartymi ciemnymi oczyma, białe zęby zacisnęła na nogawce granatowych spodni.

Czarny wypił do lustra.

– Jan Handelman – przedstawił się. – Miło mi poznać.

*Jacek Dukaj*

Opublikowano na Stronicach Dukaja (<http://dukaj.pl>)